

Powiat



Nr 11-12 (153-154), Listopad-Grudzień 2013
Rok XIII * ISSN 1730-7686

SŁUPSKI

Nowy budżet powiatu
Recital gwiazdora estrady w... wiejskim kościółku

Polityką w zabytki

Z Witkacego nie czerpię korzyści

Przesiedlona młodość

Arcydzieła flamandzkiego malarstwa

Portugalski ambasador

Słupski Kolekcjoner

Wieś Tworząca



GALERIA SZTUKI LUDOWEJ POWIATU SŁUPSKIEGO
SŁUPSK, LISTOPAD 2013



Drodzy Czytelnicy!

Na ostatnim w tym roku powiatowym konwencie samorządowców rozmawialiśmy w Płocku (w gminie Kępice) o interwencjach strażaków na drogach, inwestycjach drogowych realizowanych w 2013 roku i planowanych na 2014 rok.

Straż Pożarna wzywana do wypadków i innych zdarzeń często zmuszona jest wykonywać zadania, które nie leżą w jej kompetencjach, a służą bezpieczeństwu mieszkańców. Tak jest już od dłuższego czasu i kwestie te nie są prawnie regulowane. W ocenie zespołu kryzysowego orkan Ksawery, który nawiedził ostatnio wybrzeże narobił sporo szkód, które teraz trzeba usuwać. Mimo podjętych działań przez różne służby mieszkańcom dokuczyły jednak przerwy w dostawie energii elektrycznej i utrudnienia na drogach spowodowane powalonymi drzewami. W szczególności trudnej sytuacji byli rolnicy, którzy mieli problemy z oporządzeniem inwentarza.

Pomyślnie należy ocenić realizację w mijającym roku inwestycji drogowych wykonywanych wspólnie z gminami. Udało się wyremontować i zbudować 31 kilometrów dróg powiatowych. To sporo, ale jak wszyscy wiemy potrzeby są duże większe. Potwierdza to dyskusja niemal na każdej sesji Rady Powiatu i stan niektórych odcinków naszych dróg. Ponad trzydzieści kilometrów wyremontowanych i zbudowanych nowych nawierzchni drogowych świadczy najlepiej jak wspólnie można wiele zrobić. Będziemy chcieli kontynuować ten sposób realizacji inwestycji. Na wszystkie, w tym drogowe zaplanowaliśmy w przyszłorocznym budżecie powiatu prawie 9 mln złotych - ponad 11 proc. wszystkich wydatków. Po pozyskaniu jeszcze środków zewnętrznych uda nam się z pewnością wyremontować kolejnych kilkadziesiąt kilometrów dróg.

Uczestnicy Konwentu mogli zapoznać się z projektem budowy mobilnego systemu przeciwpowodziowego. Zakup rękawów przeciwpowodziowych z niezbędnym osprzętem oraz środków transportu do ich obsługi może okazać się niezwykle przydatny w sytuacjach kryzysowych, tym bardziej, że pojawiają się możliwości pozyskania środków zewnętrznych na ten cel. Rysują się też możliwości na pozyskanie środków finansowych z Ministerstwa Sportu na zajęcia sportowe dla dzieci rozpoczynających dopiero naukę w szkołach oraz na program przeciwdziałania poprzez sport agresji i patologii wśród dzieci i młodzieży.

Z okazji Świąt Bożego Narodzenia i zbliżającego się Nowego Roku 2014 pragnę złożyć wszystkim samorządowcom, a także Czytelnikom „Powiatu Słupskiego” jak najlepsze życzenia. Niech święta będą radosne, a 2014 rok obfity w nowe inwestycje - w wymiarze powiatowym i domowym.

Sławomir Ziemianowicz
Starosta Słupski

W numerze:

- Wsparcie dla budowy drogi S6 i nowy budżet powiatu.....4
- Pojedzie na mistrzostwa świata4
- Uczcili pamięć.....5
- Na widowni była wyjątkowa cisza6
- Rzeźby w urzędzie6
- Dzień Otwarty7
- Na urodziny - Wesele Kurpiowskie8
- Sołtys to niewdzięczna funkcja społeczna...9
- Handel może być opłacalny dla wszystkich..... 10
- Groźny „zabójca” nie czeka.....12
- Życie uduchowione13
- Rzeźbiarz z Łupin.....14
- Do czego jesteśmy potrzebni?..... 16
- Recital gwiazdora estrady w... wiejskim kościółku 18
- Polityką w zabytki19
- Wigilia u Marii Dąbrowskiej..... 22
- Nie poddał się losowi..... 23
- Moja opowieść wigilijna..... 24
- Z Witkacego nie czerpię korzyści..... 25
- „Wścieklica” z współczesnej perspektywy ... 28
- Przesiedlona młodość..... 30
- Arcydzieła flamandzkiego malarstwa ... 32
- Cała Polska go kochała 34
- Polska oszalała..... 35
- Portugalski ambasador 36
- Tomasz Jaśkiewicz w Klubie Czarnego Krążka 36
- Ożywiamy grozę wojny, aby budować pokój..... 38

Niech magiczny czas Świąt Bożego Narodzenia przyniesie Państwu wiele radosnych chwil spędzonych z bliskimi przy wigilijnym stole.

A zbliżający się Nowy Rok obfituje w zdrowie i wszelką pomyślność oraz umożliwi realizację najskrytszych marzeń

zycza

Ryszard Stus
Przewodniczący Rady Powiatu Słupskiego

Sławomir Ziemianowicz
Starosta Słupski

„POWIAT SŁUPSKI” - Biuletyn Informacyjny

Wydawca: Starostwo Powiatowe w Słupsku. Redaguje: **Zbigniew Babiarz-Zych**. Adres redakcji: Wydział Polityki Społecznej, Starostwo Powiatowe, 76-200 Słupsk, ul. Szarych Szeregów 14, tel. 59 841 85 53, faks 59 842 71 11; e-mail: zych@powiat.slupsk.pl; Skład komputerowy i łamanie: **Artur Wróblewski**. Zdjęcia: **Jan Maziejuk**. Druk: **PASAŻ** Sp. z o.o., ul. Rydlówka 24, 30-363 Kraków. Na okładkach: Mikołajki w starostwie; świąteczne ozdoby na choince gminy Kobylnica, nagrodzonej w II Powiatowym Konkursie Choinek Bożonarodzeniowych.

Biuletyn rozsyłany jest do radnych, parlamentarzystów, sołtysów, jednostek OSP, szkół, domów kultury, jednostek organizacyjnych powiatu, firm biznesowych oraz urzędów miast i gmin. Zamieszczany jest również na stronie internetowej: www.powiat.slupsk.pl

Wsparcie dla budowy drogi

Ideę powołania Stowarzyszenia Samorządowego S6. przybliżył radnym starosta S. Ziemanowicz. - Zrodziła się ona na spotkaniu samorządowców w Kobylnicy, a jego członkowie mają wspierać i promować budowę drogi S6 i wykorzystanie potencjału gospodarczego terenów do niej przyległych - mówił starosta. Radni poparli tę inicjatywę, jednogłośnie podejmując uchwałę w tej sprawie.

W sumie na październikowej sesji radni podjęli czternaście uchwał. Między innymi w sprawie przyjęcia Programu współpracy powiatu słupskiego z organizacjami pozarządowymi na 2014 rok, określenia rozkładu godzin pracy aptek w 2014 roku, obowiązujących w 2014 roku wysokości opłat za usunięcie i przechowywanie pojazdu usuniętego z drogi. Radni podjęli też uchwały w sprawie przyjęcia przez powiat od gminy Dębica Kaszubska pomocy finansowej i rzeczowej na przebudowę drogi powiatowej nr 1194G w Budowie, zmiany wieloletniej prognozy finansowej, zmian w budżecie na 2013 rok oraz rozpatrzenia skarg na działalność Powiatowego Urzędu Pracy w Słupsku, dyrektora Powiatowego Urzędu Pracy, dyrektora Poradni Psychologiczno-Pedagogicznej i dyrektora Zarządu Dróg Powiatowych w Słupsku.

Jednym z punktów sesji była też informacja Wojewódzkiego Inspektora Ochrony Środowiska w Gdańsku o stanie środowiska w powiecie słupskim w 2012

Jedną z ważniejszych decyzji jaką podjęli powiatowi radni podczas październikowej XXVII sesji Rady Powiatu było przystąpienie powiatu słupskiego do Stowarzyszenia Samorządowego S6. Na grudniowej XXVIII sesji radni uchwalili budżet powiatu na 2014 rok



Pojedzie na mistrzostwa świata

*Damian Kirko
z Damnicy wy-
walczył sobie
prawo startu
w Mistrzo-
stwach Świata
w Warcabach
64-polowych*

W Miłakowie (pow. ostródzki) odbył się w listopadzie br. VII Ogólnopolski Turniej w Warcabach 64-polowych - „Sprawni Razem”. Zorganizowali go: Ministerstwo Sportu i Turystyki, Związek Stowarzyszeń Sportowych „Sprawni Razem” w Warszawie oraz UKS „Zawisza” przy SOSW w Miłakowie. Partnerami byli: Starostwo Powiatu Ostródzkiego, Marszałek Województwa Warmińsko - Mazurskiego, Jacek Protas oraz Beata Bublewicz - poseł na Sejm RP.

Reprezentacja Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego im. Marynarza Polskiego w Damnicy w składzie: Angelika Mróz, Damian Kirko oraz Adam Czub - wszyscy z kl. II c Gimnazjum Nr 2 zdobyli III miejsce w grze błyskawicznej i III miejsce w



Fot. Archiwum Autora

grze zespołowej. Są trzecią drużyną w Polsce w tych grach.

W turnieju brało udział trzynaście zespołów, a najlepszym zawodnikiem do lat 19 został Damian Kirko, zdobył I miejsce i wywalczył prawo startu w Mistrzostwach Świata w Warcabach 64-polowych.

Damnicksi Ośrodek jest dumny ze swoich zawodników. **(M.K.)**

i S6 i nowy budżet powiatu

roku a uzupełnieniem do niej były odpowiedzi specjalisty ze słupskiej delegatury WIOŚ na pytania radnych.

Głównym tematem grudniowej sesji była uchwała budżetowa na 2014 rok. Dokument zakłada, że przyszłoroczne wydatki ogółem wyniosą 81.381.854 zł, natomiast dochody sięgnąć mają 81.972.586 zł. Użytkowana nadwyżka budżetowa, w wysokości 590.732 zł zostanie przeznaczona na spłatę wcześniej zaciągniętych rat kredytów oraz wykup obligacji. Istotną częścią budżetu będą wydatki inwestycyjne, które oszacowano na poziomie 8.968.984 zł, co stanowi ponad 11 procent ogółu wydatków. Pieniądze zostaną przeznaczone na realizację zadań z zakresu infrastruktury. W przyszłym roku zaplanowano m.in.: przebudowę układu komunikacyjnego na odcinku powiatowych dróg zbiorczych nr 1143G Głównicy-Stowięcino (gm.



Fot. J. Maziejuk

Głównicy) i nr 1147G Osowo - Darnowo (gm. Kępice). Koszt prac wynieść ma 2,9 mln zł. Natomiast ponad 3 mln zł zaplanowano na przebudowę dróg powiatowych: nr 1106G, 1015G i 1108G na terenie gminy Słupsk i gminy Ustka. W obu przypadkach inwestycje będą realizowane z wykorzystaniem środków zewnętrznych.

W czasie obrad radni wyrazili również wolę nawiązania współpracy partnerskiej z powiatem lubańskim. Określili także harmonogram prac komisji oraz

całej Rady Powiatu w 2014 roku. Natomiast chwilę przed rozpoczęciem sesji odbyły się dwie miłe uroczystości. Starosta słupski Sławomir Ziemianowicz przekazał Jolancie Wójtowicz - dyrektor Młodzieżowego Ośrodka Socjoterapii w Ustce statuetkę i dyplom, przyznane w pierwszej edycji konkursu „Regaty Rozwoju. Liderzy Innowacji i Współpracy Ponadnarodowej POKL 2007-2013”. Ustecka placówka uzyskała I wyróżnienie za projekt pn. „MOS-T w przyszłość. Wypracowanie nowych form aktywizacji zawodowej dla wychowanków Młodzieżowych Ośrodków Socjoterapii”. Konkurs zorganizowała Krajowa Instytucja Wspomagająca - Centrum Projektów Europejskich.

Starosta wręczył także nagrody w II Powiatowym Konkursie na Najładniejszą Choinkę Bożonarodzeniową. Zwycięskie drzewko pochodziło z gminy Kobylnica. Kolejne miejsca zajęły gminy: Słupsk, Kępice i Darnica. Radni obejrzeli również spektakl pt. „Wróć świecie” w wykonaniu grupy „Świta Królowej” z Zespołu Szkół Agrotechnicznych. Przedstawienie to otrzymało specjalne wyróżnienie w czasie Finału Wojewódzkiego Przeglądu Małych Form Teatralnych pod hasłem „Uzależnienia wokół nas”, który odbył się 11 grudnia 2013 roku w Gdańsku.

Daria Wojtas

Mariusz Smoliński

Odział Promocji Powiatu i Współpracy

W Zespole Szkół Agrotechnicznych w Słupsku w listopadzie, pod kierunkiem Agnieszki Kwaśniewskiej-Suda, nauczycielki języka polskiego młodzież przygotowała program „Wieczne żywi”, na który zaprosiła również uczniów i nauczycieli z Gimnazjum nr 4, Gimnazjum nr 2 w Słupsku oraz z Gimnazjum w Darnicy. Występami artystycznymi uczciła pamięć osób, których już nie spotkamy, ale poprzez swoją twórczość na zawsze pozostaną w sercach milionów Polaków.

Uczniowie wykonali utwory Marka Grechuty, Agnieszki Osieckiej, Anny Jantar i zespołu Dżem. Nie zapomnieli też o gwiazdach światowego kina - Marilyn Monroe i Patricku Swayze. Uczcili pamięć o wybitnej poetce, zdobywczyni Literackiej Nagrody Nobla - Wisławie Szymborskiej. Nie zabrakło również wspomnień o tych, którzy odeszli w tym roku - Tadeuszu Mazowieckim, Sławomirze Mrożku, Joannie Chmielewskiej i Marku Jackowskim.

Oprócz uczniów w prezentacjach wystąpił też Michał Skórka - nauczyciel języka angielskiego i wokalista zespołu Skinny Patrini. Wykonał utwór z repertuaru Elvisa Presleya „Always on my mind”, za który otrzymał od młodzieży gromkie brawa. (I.W.)

Sztuka aktywizuje i zachęca do odkrywania talentów artystycznych

Uczcili pamięć



Fot. Archiwum ZSA, Słupsk

talenty

W Teatrze Rondo odbył się etap powiatowy Konkursu Małych Form Teatralnych „Uzależnienia wokół nas”

Na widowni była wyjątkowa cisza

Konkurs zorganizowali: Wojewódzka Powiatowa Stacja Sanitarno - Epidemiologiczna w Słupsku, Stacja Sanitarno-Epidemiologiczna w Gdańsku, Starostwo Powiatowe, Urząd Miejski i Słupski Ośrodek Kultury. Na scenie zaprezentowały się cztery sześciuosobowe grupy teatralne: IV Liceum Ogólnokształcącego, Zespołu Szkół Informatycznych, Zespołu Szkół Ponadgimnazjalnych Nr 1 oraz Zespołu Szkół Agrotechnicznych - wszystkie ze Słupska. Szkolne teatry prezentowały spektakle ukazujące problemy uzależnienia od alkoholu, papierosów, narkotyków i innych środków psychoaktywnych. Podjęły trudny temat ryzykownych zachowań.

W czasie prezentacji autorskich spektakli na widowni panowała wyjątkowa cisza, przerywana jedynie brawami. Młodzi widzowie patrzyli z zainteresowaniem na swoich kolegów. Młodzież prezentowała



Fot. J. Maziejuk

wysoki poziom umiejętności aktorskich, a ich opiekunowie - reżyserskich. Konkurs miał zachęcić do pozytywnych, wolnych od uzależnień zachowań. Uczestników oceniało jury pracujące pod przewodnictwem Wiesława Dawidczyka - aktora, reżysera i instruktora Teatru Rondo w Słupsku. Oceniano zgodność sztuki teatralnej z tematyką konkursu, walory artystyczne i trafność argumentacji w promocji zdrowia.

Pierwsze miejsce zdobyła grupa z Zespołu Szkół Agrotechnicznych, ona też spotkała się z największym uznaniem publiczności. Drugie miejsce przyznano grupie z IV Liceum Ogólnokształcącego, a trzecie - z Zespołu Szkół Ponadgimnazjalnych Nr 1. Wyróżniono młodzież z Zespołu Szkół Informatycznych. Zespoły otrzymały nagrody rzeczowe ufundowane przez organizatorów.

Główny laureat zaprezentował się 11 grudnia na Finale Wojewódzkiego Przeglądu Małych Form Teatralnych w Gdańsku i zdobył tam wyróżnienie specjalne jury. (D.R.)



Fot. M. Parol

Starostwo słupskie, udostępniając tym razem swoje pomieszczenia rzeźbiarzom, poszerzyło swoją rolę jako mecenas kultury na sztuki plastyczne. Wcześniej uczyniło to już wobec ludzi pióra - pisarzy i poetów. Celem działalności Galerii, którą opieką artystyczną otoczył artysta ludowy, rzeźbiarz Zeneon Frąckiewicz z Łupin w gminie Słupsk, ma być pobudzanie aktywności twórczej mieszkańców wsi, popularyzowanie sztuki i kultury ludowej we wszelkich możliwych jej formach i przejawach. Otwierając Galerię w jednym z najładniejszych budynków Słupska, starostwo oddało godne miejsce sztuce ludowej i jej twórcom, jednocześnie udostępnia sztukę ludową mieszkańcom powiatu i liczy, że kiedy będą załatwiać sprawy w urzędzie przy okazji, zapoznają się z wytworami pracy artystów ludowych.

W przygotowanej sali wystawowej eksponowana będzie rzeźba ludowa, ale nie można wykluczyć, że zagospodzą w niej również ekspozycje innych dziedzin sztuki. Ponadto jej działalność nie będzie zawężać się tylko do twórców z powiatu, swoje prace będą mogli wystawiać również inni zainteresowani twórcy.

Galeria mieści się na parterze zabytkowego, liczącego 110 lat starostwa, w pomieszczeniu ogólnodostępnym, które zostało starannie przygotowane do nowej funkcji. Jej otwarcie 28 listopada br. zgromadziło wielu miłośników sztuki ludowej i przedstawicieli środowisk kulturalnych, ponadto zbiegło się z Otwartym Dniem Starostwa, podczas którego wszystkie pomieszczenia urzędu udostępniono zwiedzającym. Symbolicznego odsłonięcia tablicy, zapraszającej do odwiedzania Galerii, doko-



nali: wspomniany Zenon Frąckiewicz, Irena Tkaczuk-Kawalerowicz - sekretarz powiatu (zaakceptowała pomysł utworzenia Galerii i z dużym zaangażowaniem przygotowała pomieszczenie do jej działalności) oraz starosta słupski Sławomir Ziemianowicz.

Działalność Galerii rozpoczęła ekspozycja rzeźb wstawionych przez znanych już twórców z powiatu i Słupska, a także nowicjuszy, którzy po raz pierwszy chwycili

Fot. J. Maziejuk

Rzeźby w urzędzie

W słupskim starostwie rozpoczęła działalność Galeria Sztuki Ludowej Powiatu Słupskiego



Kostki, Mirosława Tomaszewskiego. W sumie w Galerii Sztuki Ludowej Powiatu Słupskiego zgromadzono na jej otwarcie 34 prace. Organizując pierwszą ekspozycję nie dobierano szczególnie rzeźb, zdano się na wolę ich autorów. Nie sugerowano też żadnych tematów i preferowanych stylów. Dalsze prace nad ekspozycją będą jednak już staranniejsze, bardziej

ukierunkowane i wymagające. Galeria ma prezentować dorobek twórców, gromadzić eksponaty i rozrastać

się na inne jeszcze pomieszczenia starostwa. Organizatorzy zakładają, że będzie tak długo istnieć, jak długo będzie potrzebna twórcom i mieszkańcom powiatu. Tak jest też z poetami wiejskimi, którzy spotykają się w starostwie już ponad dziesięć lat, publikują wiersze w wydawanych im antologiach, tomikach i dodatku literackim „Wieś Tworząca” ukazującym się z „Powiatem Słupskim”. (z)

z Retowa, Patryk Kordyjak i Jadwiga Jancz z Gardny Wielkiej, Marek Gabriel, Gabriela Florczyk i Zbigniew Gabriel z Głębina.

Ze Zenon Frąckiewicz zaprosił też do przygotowanej ekspozycji innych rzeźbiarzy. Lista wystawców wzbogaciła się zatem o kolejne nazwiska: Włodzimierza Bukowskiego, Grażyny Florczyk, Tomasza Grońskiego, Barbary Skierki, Krzysztofa Szczudrawy, Katarzyny Tomasiak, Kazimierza



Fot. J. Maziejuk



Fot. J. Maziejuk



Fot. J. Maziejuk

Dzień Otwarty

W Dniu Otwartym Starostwa w Sali Złotej odbyło się jeszcze spotkanie nieformalnej Grupy poetyckiej pn. „Wtorkowe Spotkania Literackie”. Na dziedzińcu starostwa odbył się efektowny pokaz tańca z

ogniem w rytmie bębnów. Wystąpiła Grupa Drakar, utworzona z członków interdyscyplinarnej Sekcji Otwartych Umysłów Braniewskiego Centrum Kultury, prowadzona przez Małgorzatę Burjan. Tego dnia rozstrzygnięto także konkurs fotograficzny pn. „Poznajmy zapomniane zabytki Pomorza”. Ponadto do godziny 19-ej zainteresowani mogli zwiedzać gmach starostwa. Każdy mógł wziąć udział w konkursie wiedzy o historii budynku. Z balkonu sygnaliści z Technikum Leśnego w Warcinie wygrywali muzyczne pozdrowienie do przechodniów, którym zachęcali do wstąpienia do zabytkowego budynku starostwa. (dw)

Na urodziny - Wesele Kur

Czterdziestolecie istnienia obchodził zespół ludowy „Klęcinianki” z Klęcina

To doniosłe wydarzenie panie z zespołu postanowiły uczcić wystawieniem na scenie swojej wiejskiej świetlicy spektaklu pt. „Wesele kurpiowskie”. Można było podziwiać tradycyjny kurpiowski obrzęd

zespołu przypomniano na wystawie „Kurpie na Pomorzu. 40 lat zespołu „Klęcinianki”, na którą złożyły się zdjęcia oraz kolorowe kurpiowskie wycinanki. O godz. 17-ej zaczęła się uroczystość. Na wstępie głos

zabrała wójt gminy Główny, Teresa Florkowska, podkreśliła wkład zespołu w rozwój kultury i promocję gminy. „Klęcinianki” bowiem od czterech dekad śpiewają, koncertują i wystawiają spektakle, uświetniając swoimi występami imprezy folklorystyczne i okolicznościowe w gminie. Przypomniła, że są jedynym kurpiowskim zespołem na Pomorzu. Historia jego powstania wiąże się z osiedleniem w

zaślubin pary młodej charakterystyczny dla tego regionu. Dwudziestego szóstego października zamieniona w chatę weselną świetlica wypełniła się po brzegi. Wchodzących na salę witano tradycyjnym kuchem, czyli ciastem drożdżowym. Bogatą działalność

gminie wielu rodzin pochodzących z Kurpi, które postanowiły kultywować tu swoje tradycje i obyczaje. Właśnie dlatego w zespole śpiewają równocześnie seniorki - założycielki zespołu - Danuta Kierecka oraz Józefa Szmaja oraz ich córki i wnuczki.



Fot. J. Maziejuk

W „Weselu kurpiowskim” na scenie wystąpiły całe rodziny, które wcieliły się w role weselników. Historia przedstawiona opowiada losy panny na wydaniu, zakonchanej w chłopaku, którego nie akceptują jej rodzice. Swatają ją z innym mężczyzną, którego ona z kolei nie darzy uczuciem, ale rodzicom podoba się wiano, jakie pan młody wniesie do związku. Ostatecznie wydają córkę za mąż za bogatszego kandydata. Odtworzone zostało zawarcie kontraktu między rodzinami, a następnie przybycie gości weselnych, ślub i oczepiny. Cała historia dzieje się w kurpiowskiej chacie udekorowanej kurpiowskimi wycinankami i obrazami świętych, a wszyscy aktorzy ubrani są w ludowe stroje kurpiowskie. Te stroje od lat wyróżniają klęciński zespół spośród innych występujących na Pomorzu i prawie zawsze wywołują zaciekawienie, skąd się tutaj wzięły, dlaczego w nich właśnie występują, a nie w innych, bardziej popularnych na Pomorzu.

W głównych rolach wystąpiły: Magdalena Purzycka (panna młoda), Marek Zieliński (pan młody), Danuta Kierecka (matka panny młodej), Mirosław Warowny (ojciec panny młodej). Trzeba podkreślić, że pani Danuta Kierecka zgrała swoją rolę niczym zawodowa aktorka. Cały występ zespołu był popisowy, najlepszy chyba w całym 40-leciu. Obecny na uroczystościach radny powiatowy Paweł Gonera z dumą podkreślał, że „Klęcinianki”, tak jak dobre wino, im starsze tym występują coraz lepiej! I coś w tym jest. Danuta Kierecka gra swoją rolę wiele już lat i pewnie

Fot. J. Maziejuk



piowskie



dlatego tak dobrze ją opanowała. Ale trzeba przyznać, że podczas tego występu niewiele ustępował jej pozostali odtwórcy ról, dużo młodszy.

Po występie przyszedł czas na uhonorowanie byłych i obecnych członków zespołu. Seniorki i młodsze członkinie otrzymały podziękowania od wójt Teresy Florowskiej, wicewój-

ta Arkadiusza Hofmana oraz przewodniczącego Rady Gminy Głównicy - Michała Matkowskiego. Zespół dziękował z kolei władzom gminy i dyrektorom GOK - obecnemu i byłym za życzliwą opiekę i pomoc. Józefa Szmajdę podziękowała też wszyst-



kim instruktorom i muzykom, którzy wspierali zespół w długiej karierze scenicznej. Na salę wjechał okolicznościowy tort, podano szmapna i odśpiewano „Kleciniankom” gromkie „Sto lat!”. Natomiast w tradycyjnym weselnym kurpiowskim poczęstunku gości uraczono m.in. zupą po kurpiowsku, fafernuchami (ciasteczka marchwiowo-miodowe), rejbakiem (placek ziemniaczany z mięsem) oraz regionalnym jałowcowym piwem własnego wyrobu. Jak na weselu przystało - uroczystości zakończono o 4-ej nad ranem. (gk)

- Została pani sołtysem wcale nie-malego sołectwa?...

- Sołectwo Motarzyno to ewenement. Składa się z siedmiu wsi, które rozrzucone są w promieniu piętnastu kilometrów od Motarzyna. Są też przysiółki położone w lasach.

- I są plany przyłączenia jeszcze są-siedniego sołectwa...

- Ma być do nas przyłączona jeszcze jedna wieś, z pewnością będą narastać konflikty. Znam miejscowość, znam ludzi. Wypada nam czekać na rozwój wydarzeń i czas pokaże, czy mnie przyjdzie się zmierzyć z tym nowym problemem, czy będzie to zupełnie ktoś inny, bo zmiany odłożone zostaną na późniejszy termin.

- Ale praca sołtysa to dla pani nie nowość...

- Rzeczywiście, znam ten trud od lat. Od 1982 roku byłam sołtysem ponad dwadzieścia kilka lat z przerwą, kiedy funkcję tę objął na cztery lata mój mąż. Jednak obowiązki pełniliśmy wspólnie, z moją przewagą. Jak wyglądała moja praca kiedyś? Było łatwiej o współpracę i pomoc. Ludzie byli uczynni i życzliwi. Tworzyli wspólne dobre. Wszystko robiliśmy razem. Było mniej zawiści, zazdrości i egoizmu.

- Jak ocenia pani pracę poprzedniej pani sołtys i rady sołeckiej?

- Oceniam bardzo dobrze. Jednak są to ludzie młodzi i brakło im pewnego pokoleniowego porozumienia. Sołtys musi być osobą w pełni komunikatywną, która potrafi dogadać się z każdą grupą społeczną. Wszyscy powinni mieć do niego zaufanie. Na pewno moja poprzedniczka starała się, i sporo przedsięwzięć się jej udało.

- Wybory wygrała pani bez walki, bo zabrakło kontrkandydata. Dlaczego ludzie nie chcą kandydować na sołtysa?

- Bo jest to bardzo niewdzięczna funkcja społeczna. Przede wszystkim - niedoceniona, nawet przez władze gminne. Z roku na rok dodaje się nam obowiązków, a niewielkie prowizje i przywileje zmniejsza do minimum. Ludzie ze wszystkim, nawet najmniejszym problemem, dzwonią do sołtysa. Telefony o pomoc albo z pretensjami są o każdej porze dnia i nocy. Tych drugich jest zdecydowanie więcej i w większości powinny być kierowane pod inny adres. Na pomoc i współpracę trudno liczyć, a do komentowania i oceny jest zawsze więcej chętnych. Ludzie wiedzą, że sołtysowanie wiąże się z obowiązkami i reorganizacją życia prywatnego całej rodziny. Nie wszyscy potrafią to pogodzić. Są też osoby, które nie potrafią ponieść jeszcze innego trudu. Moja wygrana w wyborach nie do końca mnie satysfakcjonuje, ale ucieszyło mnie poparcie, ze skandowaniem. Aprobata większości wyborców to ogromny mandat zaufania.

- Do zakończenia kadencji pozostał tylko rok. To mało, większość projektów wymaga dłuższego czasu realizacji.

Sołtys to niewdzięczna funkcja społeczna



Fot. Archiwum Autora

Rozmowa z sołtyską sołectwa Motarzyno - Urszulą Rączką

Zapowiedziała Pani, że będzie chciała dłużej pełnić tę funkcję. Powiedziała to pani pod wpływem chwili czy po głębszych przemyśleniach?

- Mam dopiero pięćdziesiąt sześć lat i jeszcze ochotę do pracy. Dlatego to, co zrobię będzie dowodem na potwierdzenie słusznego wyboru. Chcę jeszcze pracować i chciałabym wrócić do doświadczeń z poprzedniej mojej kadencji, kiedy udało mi się bardziej niż mojej poprzedniczce zjednać ludzi.

- A jakieś inne jeszcze plany?

- Na pewno będzie wspólna Wigilia. Podczas niej wszystkich zaproszę do współpracy. Każdy, kto zechce będzie miał szansę pokazać, co umie. Chciałabym też, aby wigilijne pierogi były jak kiedyś klejone, a nie gotowe ze sklepu.

- Dziękuję za rozmowę.

**Rozmawiała:
Aldona M. Peplińska, Motarzyno**

było mniej zawiści, zazdrości i egoizmu

Nie zawsze takie działanie jest prawdziwe, a w dzisiejszym świecie coraz rzadsze. Zdarzają się sytuacje, kiedy wymiana towaru lub usługi przynosi korzyść wszystkim, co prawda w różnym stopniu. Dla osób wtajemniczonych takie wymiany następują na tzw. parkiecie na wszystkich giełdach, czy to światowych czy to naszej rodzimej warszawskiej. Taka działalność jest bardzo ryzykowna nawet dla osób, które dobrze znają zasady rządzące gospodarką światową. Przeciętny człowiek postrzega handel poprzez okoliczne bazy, hiper i super markety oraz inne punkty sprzedaży różnych artykułów i usług.

Jednym z takich punktów sprzedaży jest biuro turystyczne, które oferuje różnorodne usługi związane z wypoczynkiem i rekreacją. Korzystając z posezonowej oferty wypoczynku w Hiszpanii, byłem zadowolony z możliwości zapłaty niższej ceny za odpoczynek. Miasto Mataro położone w północno-wschodniej Hiszpanii, nad Morzem Śródziemnym, to urocze i przyjazne miejsce dla turystów. Miasto piękne, lecz nie o tym chciałbym pisać. Nigdy bym nie przypuszczał, że w tym mieście można spotkać przedstawiciela naszego regionu. Zwiedzając miasto dotarłem w miejsce gdzie znajdowały się wielkie magazyny (centrum logistyki) pewnej firmy, która ma siedziby na całym świecie. Obok, tuż po sąsiedztwo, po drugiej stronie ulicy jakże znajoma wizytówka. Swoją placówkę ma „Biuro Sprzedaży Farm Frites”, tak, to fabryka frytek z naszej okolicy.

Po powrocie postanowiłem zainteresować się tą firmą w myśl „cudze chwalicie, swego nie znacie, sami nie wiecie co posiadacie”. Szukając informacji na temat Farm Frites dowiedziałem się, że firma ta jest kolejnym (jakże ważnym) ogniwem w całej produkcji frytek i innych ziemniaczanych przetworów. Jednym z producentów surowca, jakim jest ziemniak, jest przedsiębiorstwo rolne Farm Frites Poland Dwa sp. z o.o., które dostarcza ok. 12 proc. zapotrzebowania fabryki. Pozostała część surowca pochodzi z 70 gospodarstw położonych głównie w północnej Polsce (od Szczecina do Wisły).

Poprosiłem o rozmowę Jarosława Wańkowicza, który pełni rolę generalnego menedżera w Farm Frites Poland Dwa sp. z o.o. (gospodarstwo) oraz dyrektora działu zarządzania surowcem w Farm Frites Poland S.A. (fabryka). Pan Jarosław jest tegorocznym laureatem honorowego odznaczenia nadanego przez Ministra Rolnictwa i Rozwoju Wsi za zasługi na rzecz środowiska wiejskiego.

Siedziba gospodarstwa mieści się w pięknie odrestaurowanym przez spółkę pałacu w Bobrownikach, w gminie Damnica. Pałac okala zadbane i pięknie utrzymany park. Na pierwszy rzut oka widać rozmach i wielkość firmy. - Farma powstała na terenach państwowego gospodarstwa rolnego



Handel może być opłacalny dla wszystkich

Któż z nas nie odczuł znaczenia słowa handel, spotykamy się z nim przecież na co dzień. Znamy też wiele różnych powiedzeń dotyczących handlu, na przykład: „kupił, nie kupił, potargować można” lub „nie kupuj kota w worku”. Wiele przysłów jest mądrością narodu i często ostrzegają one przed podejmowaniem błędnych decyzji. Potocznie uważa się, że każdy sprzedający chce zarobić jak najwięcej na kupującym, i na tym polega handel

w grudniu 1993 roku, na powierzchni około 4 tys. ha ziemi ornej - opowiada pan Jarosław. - Głównym celem tego gospodarstwa była produkcja wysokiej jakości surowca dla fabryki frytek Farm Frites Poland SA w pobliskim Lęborku. Głównym powodem założenia własnej firmy rolniczej był fakt, że na rynku trudno było zdobyć odpowiednie ilości surowca nadającego się do produkcji frytek. Prace nad stworzeniem odmian przydatnych do ich produkcji oraz chipsów rozpoczęto dopiero pod koniec lat 90-tych. W związku z brakiem odpowiedniej jakości ziemniaków spółka Farm Frites Poland Dwa rozpoczęła import materiału nasiennej wysokiej klasy z Holandii, Niemiec oraz Szkocji. Pod koniec lat 90-tych razem z polskimi stacjami hodowli twórczej, spółka rozpoczęła przedsięwzięcie, mające na celu znalezienie polskiej odmiany ziemniaka nadającej się do produkcji frytek. Farm Frites posiada własne plantacje doświadczalne, na których testuje wiele odmian nadesłanych przez polskich lub holenderskich hodowców. Zamierzeniem jest znalezienie odmiany nadającej się do produkcji wysokiej jakości frytek.

Tak krótko o historii opowiada pan Jarosław, a następnie rozwija już swój udział w pracach farmy. - W 1999 roku, po trzecim roku studiów na Uniwersytecie Przyrodniczym w Poznaniu (dawniej Akademia Rolnicza) trafiłem na studia licencjackie do Holandii, gdzie odbyłem praktyki niezbędne do ukończenia studiów w Holandii w firmie Farm Frites. Tam miałem okazję zapoznać się z innym pojmowaniem rolnictwa i chyba właśnie wtedy postanowiłem rozwijać się w tym kierunku - mówi pan Jarosław. - Po skończeniu studiów (w 2001 roku) zgłosiłem się do pracy w Farm Frites

Poland. Przeszedłem wiele etapów kariery zawodowej stale rozwijając swoją wiedzę i zamiłowanie.

Rzeczywiście, rozmawiając z panem Jarosławem czuje się jego wielką pasję jaką jest praca, o której opowiada z entuzjazmem. W chwili obecnej gospodarstwo ma powierzchnię ok. 3,5 tys. ha (wraz z dzierzawami), Farm Frites Poland Dwa uprawia co roku 900 ha ziemniaków. Farmy zatrudniają na stałe 63 osoby oraz ok. 50 na czas określony w okresie sadzenia, nawadniania oraz zbioru ziemniaków. Wysokie plony rzędu 47 ton ziemniaków z ha, uzależnione są od zastosowania wysokiej jakości materiału nasiennej wolnego od chorób i wirusów, nawadniania pola w czasie suszy

oraz stosowania optymalnego nawożenia i ochrony ziemniaków przed chorobami i szkodnikami. Firma świadczy doradztwo dla ponad 70 plantatorów, którzy współpracują z fabryką przy pomocy własnych specjalistów oraz współpracuje z ośrodkami doradztwa rolniczego. Farm Frites Poland posiada zaawansowane technologicznie przechowalnie ziemniaka o całkowitej pojemności 60 tys. ton. Kolejne 60 - 70 tys. ton przechowują plantatorzy kontraktowi w nowych lub adaptowanych budynkach. Łączna pojemność 130 tys. ton gwarantuje utrzymanie fabryki Farm Frites w Lęborku w ruchu przez dwanaście miesięcy w roku.

Muszę przyznać, że słuchając pana Jarosława widzę ogrom tego przedsięwzięcia. Jedną z zasad, którą kierują się farmy jest: „Zależy nam na tym, żeby opłacało się nie tylko nam, ale i wszystkim innym”. Dlatego też przedstawiciele spółki dokładają starań w zapewnienie bezpieczeństwa w pracy. - Inwestujemy w nowoczesne maszyny i urządzenia, aby praca była łatwiejsza i przyjemna. Organizujemy szkolenia specjalistyczne z obsługi nowoczesnego sprzętu i maszyn, a także nowych technologii. Poszerzamy wiedzę uczestnicząc w branżowych spotkaniach i wymieniając się doświadczeniami - informuje pan Jarosław.

Przedstawiłem przedsiębiorstwo rolne Farm Frites Poland Dwa sp. z o.o. tylko pokrótce, ale pan Jarosław opowiadał jesz-



wiadomości wątpliwych o zrównoważonej produkcji - dodaje pan Jarosław - postanowiliśmy udowodnić iż intensywna uprawa roli, może być prowadzona w sposób niezagrażający pszczołom. Uprawa ziemniaków wiąże się z utrzymaniem odpowiedniego płodozmianu. Oznacza to, iż w praktyce ziemniaki uprawiane są na tym samym polu raz na cztery lata, a przez pozostałe trzy uprawia się na nich zboża lub rzepak.

Co roku na polach Farm Frites Poland Dwa uprawia się około 700 ha rzepaku. Menedżerowie firmy postanowili rozpocząć współpracę z Zofią i Janem Króliszynami - właścicielami pasieki w Światałach. Współpraca obejmuje również umieszczenie uli w optymalnej odległości od pól uprawnych oraz przede wszystkim zacieśnienie współpracy w stosowaniu dobrych praktyk rolniczych, które są przyjazne pszczołom. Zapyłanie roślin przez owady wpływa korzystnie nie tylko na cechy ilościowe, lecz także jakościowe plonu.

Rozstałem się z panem Jarosławem, lecz ciągle brzmiały mi jego słowa o rodzinie, którą ściągnął z Rogoźna (Wielkopolska) i jak realizuje przy wsparciu swoich najbliższych swoją pasję zawodową. Z tej fascynacji czerpią korzyści jego najbliżsi i społeczność lokalna, a przede wszystkim farma, o której rozwój stara się od lat.

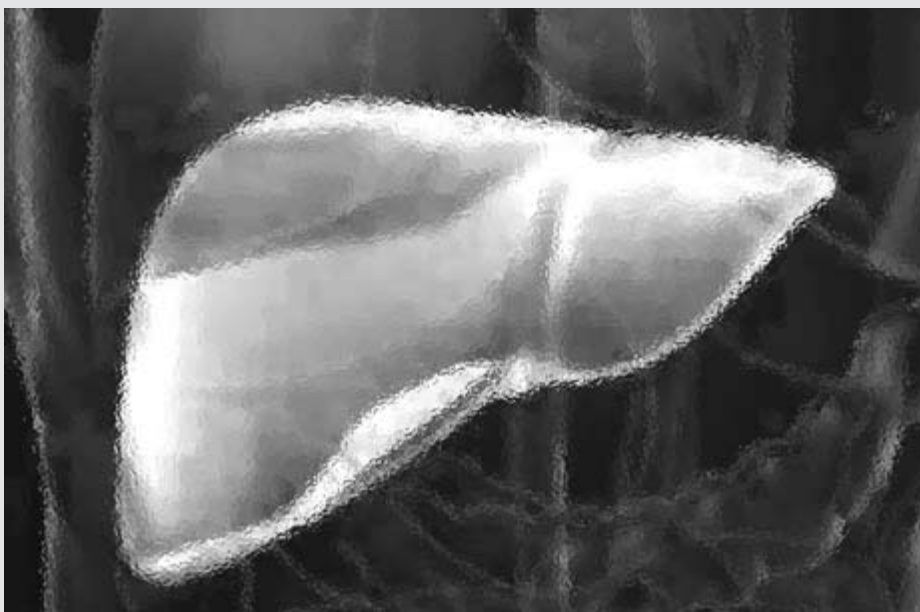
Na przykładzie farmy i fabryki frytek możemy prześledzić jak handel może być opłacalny dla wszystkich osób zaangażowanych w cały proces powstania gotowego produktu. A to nic innego jak piąta zasada ekonomii. Wyszczególnienie się w robieniu tego, co umiemy najlepiej, niezależnie czy jest to uprawa roli, budowa statków czy usługi fryzjerskie, może pomóc w uzyskaniu znacznie niższych kosztów, a poprzez to zwiększenie zysków. Zarówno poszczególne kraje, jak i nasze rodziny odnoszą korzyści handlując z sobą lub wymieniając osiągnięcia nauki. Taka współpraca powoduje łatwiejszy i tańszy dostęp do określonych przedmiotów, ułatwia też nasze codzienne życie. Wynalezienie maszyny ułatwiającej konkretną czynność przynosi korzyści z patentu - pomysłodawcy, ze sprzedaży - producentowi, a nam oszczędność czasu i pracy. Zaoszczędzony czas i pracę możemy przeznaczyć na inne czynności, które mogą być teraz możliwe do zrealizowania.

dr Mirosław Betkowski, Słupsk

W następnym numerze omówię szóstą zasadę ekonomii: „Rynki są zwykle dobrą formą organizowania aktywności gospodarczej”. Upadek „wielkiego planisty” z czasów socjalizmu spowodował pomysłowość i aktywność wielu ludzi, którzy tworząc nowe miejsca pracy dla siebie i innych sami określają „co zrobić żeby zarobić”. W jaki sposób kieruje „niewidzialna ręka” procesami, w wyniku których kształtują się ceny. Właśnie o tym i innych zależnościach napiszę w następnym numerze. (M.B.)

Groźny „zabójca” nie czeka

W Polsce wykrywalność zachorowań na wirusowe zapalenie wątroby typu C jest tak niska, że ostatni z obecnie zakażonych może zostać wykryty dopiero za... 200 lat



Wirusowe zapalenie wątroby typu C może prowadzić do raka wątrobokomórkowego. W Polsce jest to główna przyczyna tego nowotworu. Problem ten dotyka co pięćdziesiątego Polaka. Niestety większość nie jest świadoma swojej choroby, ponieważ przez wiele lat nie daje ona żadnych objawów. Bardzo często zakażenia HCV wykrywane są przypadkowo lub po zbyt długim czasie podczas rozpoznania poważnych uszkodzeń wątroby, takich jak zwłóknienie, marskość czy rak wątrobowokomórkowy (HCC). Co gorsze, osoby nieświadome zakażenia - zarażają innych. Jest to ogromne zagrożenie dla reszty społeczeństwa, ze względu na łatwość przenoszenia się wirusa.

Przewlekłe wirusowe zapalenie wątroby typu C jest piątym, co do

częstotliwości występowania na świecie, nowotworem złośliwym, a jako przyczyna zgonu, wśród nowotworów, zajmuje czwarte miejsce. Jego częstość występowania wciąż rośnie. Największą liczbę zachorowań odnotowuje się w krajach rozwijających się, ale także w Polsce. Statystyki nie nastrajają optymistycznie. W Polsce z powodu tego nowotworu umiera rocznie około 2 tys. osób. Każdego dnia, aż cztery osoby dowiadują się, że mają raka wątrobowokomórkowego spowodowanego wirusem HCV. Tych nowotworów można by uniknąć poprzez wczesną diagnostykę zakażenia HCV i rozpoczęcie leczenia.

Wczesna diagnoza jest kluczowa i może uratować życie, dlatego tak ważne jest wykonywanie testów diagnostycznych. Tymczasem poziom wykrywania

zakażeń HCV w Polsce jest jednym z najniższych w Europie i wynosi jedynie 14 proc. Oznacza to, że każdego roku w naszym kraju występuje ok. 14 tysięcy nowych zachorowań na wirusowe zapalenie wątroby typu C. Uwzględniając szacunki Polskiej Grupy Ekspertów HCV należy się spodziewać, że w województwie pomorskim przeciwciała anti-HCV mogą występować u około 43386 mieszkańców, a w samym Słupsku u ok. 1820 osób. Rocznie, w Polsce wykrywa się tylko 2 - 3 tys. zakażeń. Przy tak niskiej wykrywalności ostatni z obecnie zakażonych może zostać wykryty za dwieście lat!

W opinii ekspertów, podstawową przyczyną takiej sytuacji jest niewystarczająca wiedza społeczeństwa na temat WZW C, a co za tym idzie - Polacy nie wykonują badań w tym kierunku. Nawet 90 proc. spośród tych, którzy coś wiedzą o HCV nie wykonywało testów diagnostycznych. Tymczasem do wykrycia zakażenia WZW C wystarczy proste badanie krwi testem anti-HCV, który można wykonać w większości laboratoriów analitycznych. Koszt takiego badania w niepublicznej placówce diagnostycznej to ok 30 zł. W Polsce badania na obecność przeciwciał wirusa HCV są refundowane tylko w przypadku, gdy skierowanie na nie wyda lekarz chorób zakaźnych.

W ramach ogólnopolskiej kampanii edukacyjnej „Cichy zabójca WZW C. Działa w ukryciu, twoja niewiedza utrzymuje go przy życiu” próbuje się zmobilizować Polaków, w tym również władze samorządowe do prewencyjnego działania i umożliwienia wykonywania testów na obecność przeciwciał wirusa HCV we krwi. Na stronie www.wzwc.pl dostępna jest aktualna lista placówek realizujących badania bezpłatnie w ramach kampanii.

Wirus HCV może się zarazić każdy, a wirusowe zapalenie wątroby typu C zwane jest „cichym zabójcą”, bo najczęściej przebiega bez żadnych objawów czy dolegliwości. W tym czasie skutecznie niszcząc wątrobę chorej osoby. Dodatkowo do zakażenia może dojść w trakcie wielu zwyczajnych i częstych czynności, jakim się poddajemy na co dzień. Na przykład podczas wizyty u fryzjera, kosmetyczki, manikurzystki, stomatologa, podczas tatuowania czy kolczykowania ciała, a także poprzez kontakt z krwią domowników czy używanie tej samej maszyny do golenia, nożyczek do paznokci oraz w czasie różnego typu zabiegów medycznych. W grupie podwyższonego ryzyka zakażeniem są osoby utrzymujące ryzykowne kontakty seksualne, przyjmujące narkotyki drogą dożylną i donosową. Również osoby, które przed 1992 rokiem miały przetaczaną krew powinny się zbadać w kierunku WZW C.

Dariusz Wiślański
Warszawa

Jedno życie tylko mamy i jeden świat, który nie jest tylko zbiorem rzeczy praktycznych. Świat to - człowiek, który nie jest ani ładniejszy, ani brzydszy, ani mądrzejszy, ani głupszy, czy biedniejszy albo bogatszy. Jedynym wyznacznikiem człowieczeństwa jest godność przeżywania swojego losu. Ludzie niepełnosprawni tę godność afirmują - choć nieświadomie - najładniej, bo są wobec siebie uczciwi i autentyczni.

Przepiękną ilustracją takiego pojmowania życia był ostatni przegląd twórczości artystycznej osób znajdujących się pod opieką domów pomocy społecznej, Specjalnego Ośrodka Szkolno - Wychowawczego w Dąmnicy i Warsztatów Terapii Zajęciowej. Odbył się 16 października w słupskim teatrze, w starannej obsadzie gwarantującej szacunek osobom niepełnosprawnym.

Szacuje się, że takich osób w polskim społeczeństwie jest około 12 procent. Spośród nich 40 proc. żyje na wsi i w małych miasteczkach. Choć klasyfikacja ta dla celów socjologicznych jest konieczna, to w odniesieniu do człowieka, ma często wymiar umowny, wręcz iluzoryczny. A dzielenie ludzi na niepełno i pełnosprawnych, zdrowych i chorych, na pewno nie jest dobre. Osoba niepełnosprawna, w większym stopniu aniżeli przeciętny człowiek czuje się wyobcowana z normalnego życia. Pod wpływem kontaktów kształtuje się u niej własny obraz i ocena własnych zdolności.

Kreowanie sztuki wzmacnia duchową niezależność i autonomię u takich osób. Nie

Czy może być coś wartościowszego w człowieku, jak - usłyszeć, zrozumieć i pomóc?



Fot. J. Maziejuk

godzina, zapomnieliśmy o posiłku, czy innych codziennych powinnościach - potwierdzamy trafność tej definicji. I nie chodzi tu wcale o efekt, który jest drugorzędny,

tylko o zaangażowanie i stopień ekscytacji tego, co z upodobaniem robimy. Z pasją postawiony płot, urzędowa grządka w ogrodzie, wiązanka kwiatów dobrana estetycznie, dobór ulubionego wiersza, piosenki czy kartki świątecznej - to jest właśnie sztuka. To uczciwość wobec wykonywanej czynności czyni

swoistym „aktem obecności” i formą spełnienia w życiu kulturalnym i artystycznym.

Kultura i sztuka ma w polskim społeczeństwie charakter kodeksu obyczajowego. To mądre, ładne i „uczłowieczone” postrzeganie świata i ludzi. Utrwalane tak wzory zachowań poddają się funkcjonalnej racjonalizacji i tworzą coraz bardziej uszlachetniony system wartości. Takie przekonanie pomaga przewyżczać poczucie niebezpieczeństwa i beznadziejności życia. Szczęśliwie się składa, bo wszyscy, zarówno my, sprawniejsi życiowo, jak i ludzie nie mogący egzystować samodzielnie, znajdujemy się w okresie Świąt Bożego Narodzenia, które dla katolików stanowi najpiękniejszy prezent. Podzielać to zdanie. Wartość jest miarą porządku stanowiącą ostateczną instancję osądu w świecie człowieka. Wiara jest afirmacją określonych zasad moralnych - koniecznością egzystencjalną. Bóg - stając się człowiekiem - nobilitował jednostkę ludzką do godności równej sobie. Owa „miłość miłosierna” - to wolny i rozumny akt wyboru. Słuszny. Bo czy może być coś wartościowszego w człowieku, jak - usłyszeć, zrozumieć i pomóc?

Ulubiona przeze mnie myśl gdzieś przeczytana: „Kto kocha Boga, jest człowiekiem. Kto kocha człowieka, jest półbogiem”. Chęć zainteresowania się człowiekiem bardziej od nas poszkodowanym przez los, to wartość najwyższa. Życie jest piękne, ale nie wszyscy - bez pomocy innych - mogą takiego doświadczyć.

Klemens Rudowski, Słupsk



Fot. J. Maziejuk

muszą one oczywiście o tym wiedzieć. Wystarczy, że są świadome opieki i codziennej życzliwości.

„Sztuka, to praca doskonała” - głosi jedna z definicji. W przypadku każdego człowieka chodzi o to samo. Jeśli zachwyceni jakąś czynnością zapominamy, która

nas artystami. Gdyby wszyscy ludzie z takim szacunkiem i zaangażowaniem wykonywali swoje zadania zawodowe i społeczne - świat byłby piękniejszy.

Udział mieszkańców domów pomocy społecznej w Przeglądzie Dorobku Artystycznego Osób Niepełnosprawnych był

Drewno to piękne tworzywo artystyczne. Od bardzo dawna było wykorzystywane do rzeźby religijnej. W wykopaliskach zostały znalezione przedmioty z drewna związane z kultem Światowida, Tryglawa i inne. Największe jednak bogactwo w rzeźbie religijnej wykonanej w drewnie datuje się od średniowiecza, a tradycja ta przetrwała do naszych czasów. W Europie następuje nie tylko masowe wyposażanie figuralne kościołów, kaplic, miejsc cudów i kultu, ale powszechny wyrób ludowych świątków. Artystyczne dzieło z drewna lipowego pokrytego polichromią to słynny ołtarz wykonany przez Wita Stwosza, znajdujący się Kościele Mariackim w Krakowie, jak również wiele figur świętych będących na wyposażeniu naszych świątyń.

Poznałem pracownię regionalnego mistrza ziemi słupskiej, rzeźbiarza ludowego Zenona Frąckiewicza - kontynuatora wspomnianej wyżej tradycji. Mieszka we wsi Łupiny w gminie Słupsk. Urodził się w Słupsku w 1952 roku. Tutaj kształcił się w szkołach średnich i zawodowych i jako amator podjął próbę wyzwolenia weny twórczej nie tylko w rzeźbie, ale też w malarstwie sztalugowym. Zawodowe przygotowanie to tylko nauka w prywatnej szkole plastycznej w Gdyni i zdobyte kwalifikacje w Uniwersytecie Ludowym w Wili Sękowej.

Rzeźbił w drewnie od dzieciństwa, a jego prace poważniejsze są datowane na lata 1969/1970, kiedy kończy szkołę budowlaną w Słupsku przy ulicy Sobieskiego, mając 17 lat. Pierwsza wystawa jego prac została zorganizowana w 1972 roku. W latach 1990 - 2005 jest właścicielem i prowadzi Pracownię Rzeźbiarską w Słupsku przy ulicy Wojska Polskiego. Specjalizuje się w usługach dla mieszkańców regionu w zakresie prac konserwatorskich, rewitalizacyjnych zabytkowych mebli, antyków, ozdobnych ram, rzeźb religijnych, świątków i przedmiotów lub detali drewnianych.

W 2001 roku przygotował rzeźby grajków, świątków i inne, które były prezentowane na wystawie dorobku artystycznego gminy Słupsk w Warszawie. Ciepło wspomina Stefana Morawskiego, założyciela Klubu Plastyka w Słupsku, któremu zawdzięcza bardzo dużo. Morawski uczył go rysunku, przekazywał tajniki zawodowe i był promotorem twórczości w początkowym okresie. Frąckiewicz jest członkiem Klubu Plastyka im. S. Morawskiego od czterdziestu pięciu

Rzeźbiarz z Łupin

Każdy artysta jest inny, a piękno które tworzy ma charakter indywidualnego przekazu jego wizji



lat. Obecnie prowadzi zajęcia rzeźby w Słupskim Ośrodku Kultury.

Rzeźba wszelka, a szczególnie pięknie wykonana zawsze ma swoją „duszę”, która przemawia do wyobraźni odbiorcy. Szukałem takich dzieł w dorobku artysty. Zenon Frąckiewicz zawiązał mnie do kościoła pod wezwaniem św. Jana Kantego w

Słupsku. Tu znajduje się największe osiągnięcie jego twórczości - rzeźby Drogi Krzyżowej (14 stacji) i rzeźba grupowa Zmartwychwstałego Chrystusa umiejscowiona w prezbiterium świątyni.

Co skłoniło go do podjęcia się tak odważnego tematu? Ile jest w pracach tych własnej inspiracji

Fot. W. Lipczyński



artystycznej, a ile naśladownictwa? Jak przebiegał proces tworzenia, czy były trudności i komplikacje z tworzywem?

- Rzeźbienie figur do Drogi Krzyżowej i na centralny ołtarz zajęło mi bardzo dużo czasu - mówi Zenon Frąckiewicz. - Miałem już ponad trzydzieści lat pracy w tym zawodzie, kiedy otrzymałem to największe i najbardziej odpowiedzialne i prestiżowe zamówienie. Kościół pod wezwaniem świętego Jana Kantego powstał z adaptacji starej stodoły i była potrzeba zachowania drewnianego belkowania stropów z jednoczesnym przystosowaniem do tego elementów przyszłego wystroju świątyni. Wiedziałem, że moje rzeźby muszą być nie tylko trwałe, ale komplementarne i estetyczne, aby mogły podobać się wspólnocie parafialnej. Było to największe artystyczne

przedsięwzięcie mojego życia, oprócz Szopki Bożonarodzeniowej wykonanej dla kościoła w Dębnicy Kaszubskiej.

Każdy artysta jest inny, a piękno które tworzy ma charakter indywidualnego przekazu jego wizji i podlega jednocześnie ocenie, której elementem są lokalne oczekiwania, jak również normy ogólne, ponadczasowe. Twórczość rzeźbiarska Zenona Frąckiewicza zdaje się wypełniać obydwa kryteria; stara się zaspokajać potrzeby lokalnego rynku zmierzając jednocześnie do przekroczenia granic przeciętności. Jest typową sztuką ludową utalentowanego amatora, tworzącego świątki i wizje wiejskiego folkloru.

Sztuka religijna stanowi przekaz liturgiczny. Jest sztuką znaku i symbolu, poświęconą życiu i męce Chrystusa, stanowiąc najważniejsze przesłanie w ikonografii chrześcijańskiej. Sztuka religijna nie zawsze jest sakralna. To świat metafizycznego przeżywania wartości, Boga. Sacrum to świętość przeżywania i pokazania Chrystusa - który jest naszym bratem i zarazem bogiem. Jest to też problem

ucłowieczenia Chrystusa. Sztukę sakralną uprawia Z. Frąckiewicz i ta sztuka wywołuje szczególne przeżycia, skłania do modlitwy, do konkretnej refleksji, do kontaktu z Bogiem. Sztuka o temacie religijnym powinna prowokować do metafizycznej rozmowy z Bogiem i samym sobą.

Przykładem nowoczesności w rzeźbie jest Vigeland z Norwegii. Realizował sztukę, która stanowi połączenie symbolizmu z realizmem, a jej tematem jest byt człowieka. Rzeźba figuralna, która fascynuje, musi być dynamiczna, może przedstawiać różne wątki z życia człowieka, nawet te religijne, może być połączona z elementami świeckimi, ale musi mieć określony kontekst.

Stosowane często przez artystów naśladownictwo tematyczne wyklucza i jest zaprzeczeniem inwencji twórczej. Rzeźby, które będą zawsze wzbudzać zainteresowanie, muszą nieść określone przesłanie, nie mogą być statycznymi postaciami.

Jestem pod wrażeniem rzeźby sakralnej Zenona Frąckiewicza. Ekspozowane w



Fot. W. Lipczyński



Fot. J. Maziejuk

kościele pw. św. Jana Kantego w Słupsku jego dzieło jest potwierdzeniem dużego kunsztu artystycznego, nie tylko przeżyje mistrza, ale zapisze się na zawsze w słupskiej kulturze.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk

Może warto, by samorząd słupski przywrócił dawną strukturę Informacji Turystycznej i wspierał utworzenie Lokalnej Organizacji Turystycznej, która kiedyś już w Słupsku istniała. Przysporzyłoby to miastu pożytku

Do czego jesteśmy potrzebni?

Wiele lat temu pojechałam do Żywca. Na dworcu zapytałam mieszkańca, jak daleko jest do rynku, przy którym mieści się budynek szkoły. Odpowiedź brzmiała: „Prosto hej”. Nie zdążyłam zadać kolejnego pytania, a „góral z Żywca” odszedł. Idąc dalej zastanawiałam się, dlaczego nie określił odległości w miarach, a jedynie powiedział: „Hej”. Pomimo zadania kolejnych pytań mieszkańcom, z naciskiem na podanie odległości zawsze usłyszałam odpowiedź: „Prosto hej”. I tak przez 30 minut szłam „prosto hej”. Doszłam do centrum miasta, do Rynku. Kiedy wstąpiłam do Informacji Turystycznej i zapytałam o wskazany adres, usłyszałam odpowiedź: „Budynek jest zlokalizowany przy targowisku, a nie w Rynku, czyli w centrum, a „hej, to znaczy niedaleko”. Żeby osiągnąć cel musiałam odszukać targowisko i ulicę, przy której znajdowała się szkoła. Zadałam sobie pytanie: kto popełnił błąd, ja czy napotkani mieszkańcy Żywca? A może nikt? Mieszkańcy uprzejmie udzielili informacji, ale „po swojemu”.

Epizod ten uświadamia, jak ważną rolę odgrywa informacja, bez niej nie można działać, przemieszczając się w czasie i przestrzeni. Szczególna rola przypisana jest informacji turystycznej. Uczestniczenie w różnych formach turystyki wymaga posiadania informacji lub szybkiego dostępu do niej oraz umiejętności jej poszukiwania. Oczekiwania na informację są różne i zależą od segmentu rynku turystycznego, a popyt wzrasta wraz z rozwojem społeczno-gospodarczym.

W 2013 roku mija pięćdziesiąt lat polskiego systemu informacji turystycznej. Z tej okazji odbyła się w Warszawie konferencja naukowa, w której uczestniczyłam. Celem mojego wystąpienia było przedstawienie zmian zachodzących w funkcjonowaniu informacji turystycznej na tle przemian społeczno-gospodarczych w kraju w latach 1975 - 2013 na przykładzie Słupskiej Informacji

Turystycznej. Dlaczego wybrałam taki przedział czasowy? Ponieważ w Słupsku utworzono pierwsze biuro „IT” w 1975 roku, ale o jego historii napiszę dalej.

Początki tworzenia w Polsce systemu Informacji Turystycznej sięgają 1963 roku. Polska była wówczas jednym z nielicznych krajów mogących poszczycić się profesjonalnymi centrami IT. System ten obejmował Centralny Ośrodek Informacji Turystycznej (COIT), wojewódzkie i regionalne ośrodki IT oraz punkty IT w biurach turystycznych, hotelach, domach kultury, muzeach, obiektach sportowych, obsługiwanych przez przeszkolonych informatorów. Liczne reorganizacje urzędów państwowych zarządzających turystyką utrudniały rozwój systemu IT. Przez trzydzieści lat działał on w trudnych warunkach, a przepływ informacji utrudniała biurokracja. Nie był do-



stępny Internet z całym wyposażeniem, wiele miast nie posiadało automatycznych połączeń telefonicznych, a ważne informacje przekazywano często psującymi się teleksami. Podstawowymi narzędziami pracy były publikacje, a poszczególne tytuły wydawnicze należało każdorazowo poddać weryfikacji cenzury.

W 1975 roku powołano 49 województw, a wraz z nimi prawie tyle samo wojewódzkich przedsiębiorstw turystycznych, którym powierzono prowadzenie IT. W Słupsku zadanie to realizowało Słupskie Przedsiębiorstwo Turystyczne „Przymorze”, oczywiście przy współfinansowaniu Urzędu Wojewódzkiego, branży turystycznej oraz środków z COIT. Na uwagę zasługuje fakt, że w tym czasie punkty IT znajdowały się we wszystkich piętnastu oddziałach i obiektach „Przymorza”, dwudziestu biurach turystycznych, muzeach, ośrodkach sportu i rekreacji oraz znaczących ośrodkach wczasowych. Taki stan



Fot. D. Wojtas

trwał do 22 września 1981 roku, kiedy to Urząd Wojewódzki zdecydował o likwidacji Wojewódzkiego Ośrodka Informacji Turystycznej podległego SPT „Przymorze”. Przez trzy lata (1981 - 1984) słupska Informacja Turystyczna była pozostawiona sama sobie, ponieważ SPT „Przymorze” miało swoją Sekcję Informacji i Reklamy. 16 marca 1984 roku Urząd Wojewódzki podpisał porozumienie z COIT w Warszawie - Oddziałem w Gdańsku o powołaniu Wojewódzkiego Centrum Informacji Turystycznej w Słupsku, obejmującego swym działaniem obszar całego województwa. Wojewoda określił zadania do realizacji, a nadzór i koszty utrzymania powierzył Wydziałowi Kultury, Sportu i Turystyki. Wszelkie publikacje i wydawnictwa były uzgadniane i realizowane przy wsparciu finansowym COIT - Oddziału w Gdańsku. Dobra



Fot. J. Orłowska

współpraca z tym oddziałem skończyła się 31 grudnia 1988 roku, kiedy to zostało wypowiedziane Porozumienie o współpracy. Od maja 1989 roku Wojewódzkie Centrum Informacji Turystycznej rozpoczęło działalność przy Słupskim Ośrodku Informacji Turystycznej. Kolejna zmiana nazwy i struktury organizacyjnej nastąpiła 21 grudnia 1990 roku. Zarządzeniem Wojewody powołano Wojewódzki Ośrodek Informacji Turystycznej podległy WKSiT Urzędu Wojewódzkiego. W takiej formie funkcjonował on do 31 grudnia 1998 roku, tj. przez osiem lat. W tym czasie zmieniał siedem razy lokalizację. Scentralizowana Informacja Turystyczna, podlegająca do 1999 roku w większości pod administrację rządową (wojewódzką), spełniała rolę ośrodka promocji i informacji na rzecz całego województwa i miasta Słupska.

Kolejna reorganizacja (w 1999 roku), spowodowała, że WOIT przekazano samorządowi Słupska. Powstały również

regionalne i lokalne organizacje turystyczne, a to spowodowało połączenie promocji i informacji turystycznej, zwłaszcza w Lokalnych Organizacjach Turystycznych (LOT). Zadaniem tych ostatnich jest przede wszystkim obsługa ruchu turystycznego poprzez oddziaływanie na ruch przyjazdowy, oraz współpraca z wszystkimi sektorami zainteresowanymi rozwojem tej dziedziny gospodarki. Po kolejnych przeprowadzkach i zmianach nazw, w 2008 roku biuro Informacji Turystycznej otrzymało nową bardzo funkcjonalną siedzibę przy ulicy Starzyńskiego. Jako Centrum Informacji Turystycznej „Ziemia Słupska” zaczęło podlegać pod Wydział Promocji i Integracji Europejskiej Urzędu Miejskiego w Słupsku. Od tego czasu CIT współpracuje z branżą turystyczną w Słupsku i w powiecie oraz z Pomorską Regionalną Organizacją Turystyczną. Branża turystyczna, turyści oraz mieszkańcy mają biuro Informacji Turystycznej, które spełnia europejskie standardy i jako jedno z nielicznych „cztery gwiazdki”. Informacja turystyczna pełni więc rolę właściwego przekaznika, zachęcając do poznania ofert, jakie przygotowano dla turystów i mieszkańców. Centrum Informacji Turystycznej „Ziemia Słupska” pełni jednocześnie funkcję LOT-u w zakresie marketingu terytorialnego. Przygotowany produkt turystyczny promowany jest na targach, wydawane są materiały promocyjne.

Taki stan trwa jednak tylko do września 2011 roku, bo wtedy decyzją samorządu miejskiego zlikwidowano CIT „Ziemia Słupska” i powołano Agencję Promocji Regionalnej „Ziemia Słupska” (spółkę komunalną). Można zapytać, czy w takiej strukturze informacja turystyczna spełni swoje zadanie? Już dziś widać, że jakość usługi uległa pogorszeniu, nowi pracownicy nie zawsze wykazują się znajomością wiedzy na zadany temat. Brak jest materiałów promocyjnych o mieście. W witrynach okiennych promuje się apteka i kancelaria adwokacka.

Powstanie organizacji pozarządowych, fundacji, związków o zróżnicowanych kierunkach działania miało na celu przejęcie zadań zleczanych przez samorządy oraz pozyskiwanie środków z innych źródeł na ich realizację, a przede wszystkim nie rozbudowywanie stanowisk obsługi. Może warto więc, aby samorząd słupski przywrócił dawną strukturę i wspierał utworzenie Lokalnej Organizacji Turystycznej (taka już też funkcjonowała), ponieważ przysporzy to pożytku miastu. Lokalna Organizacja Turystyczna eliminuje niezdrową konkurencję, realizuje zadania w sposób efektywny i ekonomiczny. Właśnie jubileusz 50-lecia zainspirował mnie do przypomnienia o zawiłościach i o tym, jakie trudne drogi pokonywała słupska informacja turystyczna i pokuszenia się o odpowiedź, jak mogłoby być lepiej.

Joanna Orłowska, Słupsk

KALENDARIUM

8 listopada w Wicku Morskim odbył się VIII Pomorski Bieg Niepodległości zorganizowany przez Zespół Szkół Ogólnokształcących i Technicznych oraz Młodzieżowy Ośrodek Socjoterapii w Ustce.

15 listopada obchodził 55-lecie działalności Klub Plastyka im. Stefana Morawskiego w Słupsku. Powstał jeszcze przy dawnym Powiatowym Domu Kultury.

16 listopada 60. urodziny obchodził Słupski Ośrodek Kultury - spadkobierca m.in. też dawnego Powiatowego Domu Kultury.

22 listopada grupy teatralne „Muza” i „Zwierzyniec”, z Gminnego Ośrodka Kultury Gminy Ustka obchodziły jubileusz 5-lecia działalności.

27 listopada w sali Młodzieżowego Ośrodka Socjoterapii w Ustce odbył się finał Warsztatów Artystycznych „Sztuka łączy”.

28 listopada w siedzibie starostwa otwarto Galerię Sztuki Ludowej Powiatu Słupskiego.

29 listopada w sali gimnastycznej Technikum Leśnego w Warcinie odbył się Powiatowy Przegląd Teatrzyków Wiejskich „WIEJSZTUK”.

4 grudnia br. w siedzibie starostwa rozstrzygnięto Powiatowy Konkurs Fotograficzny dla młodzieży szkolnej pt. „Dbam o zdrowie - nie palę papierosów”.

10 grudnia br. w siedzibie starostwa zorganizowano konferencję podsumowującą projekt pn. „Pokonaj lęk”, współfinansowany ze środków Ministerstwa Pracy i Polityki Społecznej.

12 grudnia w siedzibie starostwa odbyła się konferencja na temat podstaw dawstwa narządów - w ramach partnerstwa dla transplantacji.

16 grudnia w Cerkwi Grecko-Katolickiej w Słupsku promowano tomik śp. Marka Jończy z Dębicy Kaszubskiej pt. „W drodze”, wydany za stypendium Starosty Słupskiego.

18 grudnia w restauracji Aureus w Słupsku pożegnano Mieczysława Jaroszewicza - dyrektora Muzeum Pomorza Środkowego, który odszedł na emeryturę.

Recital gwiazdora estrady w... wiejskim kościółku

W Damnie zaśpiewa Maestro z przysłowiowej
najwyższej półki polskiej estrady

Jako się rzekło, ad rem. Gdyby zacząć od miejsca recitalu: Chodzi o siedzibę sołectwa Damno nieopodal damnicko-słupskich „rubieży” gminnych. Wieś - na użytek niewtajemniczonych - dość spora, żywotna, a przy tym z ujmującą ciekawą historią. Cytuję fragmenty zapisków dokonanych wcześniej w albumie - monografii „Pomorskie uroczyska między Słupią, Łebą i Brdą”: „Od 1325 Dambna, Damnem (ewidentne ślady polskości)... Szczególne kurioza? Relikty „bliźniaczej” wsi kaszubskiej (kazania w tym języku wygłaszali tamtejsi księża aż po rok 1796), no i XVI-wieczny kościółek z leciwszym od sąsiednich ołtarzem, rzeźbami na cokole, starodrzewem przy świątyni”...

Późniejszy Drang nach Osten pruskich możnowładców sprawił, że owo sacrum Kaszub przetrwało raptem trzy stulecia. W 1898 roku z jego szczątków powstał duży (400 miejsc w ławach i co najmniej drugie tyle dla stojących obok) zбір protestancki; od zakończenia II wojny światowej - na przekór temu, co w tytule, bardzo okazały kościół rzymskokatolicki pod wezwaniem świętych Szymona i Judy Tadeusza. Skupiający, według proboszcza ks. Zdzisława Wirkusa, z górą trzy tysiące parafian

- mieszkańców siedemnastu (!) wiosek i małych, ubożuchnych osad wiejskich. Czasem (Drzeżewo, Lipno lub Grapice i Grapiczki)... u obrzeży innych gmin (głównyczej, potęgowskiej).

A propos tytułowej imprezy. Nic ze zdarzeń „nie do wiary”. Na odwrót: dosyć długa już, pilotowana od zawsze z wielką pasją przez wójta Grzegorza Jaworskiego (notabene inżyniera rolnika, zarazem hobbisty muzyki i - muzykowania) tradycja. Przykłady? W roku 2011 grudniowy wieczór umilił prawie tysiącowi damnian znakomity piosenkarz Andrzej Cierniewski, podrywając do hucznych (tak, tak) pastorałek, kolęd i... swoich przebojów estradowych dosłownie cały kościół z księdzem Wirkusem i goszczącym u niego duszpasterzem ze Stowięcina koło Głównyc. Rok temu damneński recital poświętecznie-norocny zgodził się firmować artysta tej rangi, co Marek Torzewski (z córką Agatą). Wiadomo wszem i wobec: jeden z najwybitniejszych tenorów na świecie, w dodatku z przepięknym głosem operowym i niemniej frapującym... popartem. Zamienił Dom Boży u księdza Zdzisława w istny music hall. Po trosze tylko dzięki wspaniałej aranżacji świetlnej, akustycznej etc. Bez przeceniania darmowych

wejść (!) na koncert. W głównej mierze - ani chybi; dają głowę - za sprawą udzielającej się wszystkim estymy śpiewaka, Maestro z przysłowiowej najwyższej półki.

28 grudnia br., tradycyjnym zwyczajem o godzinie 17.30, wystąpi przed publicznością z Wirkusowej parafii i gminy Damnica (dla mieszkańców Słupska również wstęp wolny, a dojazd autobusem PKS kosztuje zaledwie 7,40 zł) trzeci wielki gwiazdor naszej estrady - Zbigniew Wodecki. Kto go nie zna?! Czy bliżej - śmiem jednak wątpić. Nie wszyscy przecież zetknęli się z nim, casus Wasz reporter, tete-’a- tete. No i CV artysty: wyjątkowo bujne, umykające spod piór „rzetelnych, wiarygodnych” biografów. Mówi o sobie: rdzen-ny krakowianin, choć tzw. przekazy parafialno-domowe oscylują raczej w stronę... łązisk w gminie Godów, w powiecie Wodzisław Śląski. Tak czy owak z Krakowem związany był od dzieciństwa, bo - hobbista przygód ze sztuką już w wieku pięciu lat - tam właśnie przeszedł edukację w Państwowej Szkole Muzycznej II stopnia w klasie skrzypiec u prof. Juliusza Webera. Jako „gołowas” 18-latek (dziś zaledwie

63,5 - jeszcze długo nie emeryt") związał się ze słynną krakowską Piwnicą pod Baranami Piotra Skrzyneckiego (trochę później również z poznańskim kabaretem Zenona Laskowika), z grupami instrumentalno-wokalnymi Anawa i Czarne Koty, z kręgiem solistów tej miary jak: Ewa Demarczyk (1968 - 1973; „wojaże, wojaże i mnóstwo satysfakcji”), Marek Grechuta, Zygmunt Konieczny lub Grzegorz Turnau, wreszcie z Orkiestrą Kameralną Cracovia Simplex i Wielką Orkiestrą Symfoniczną PRiTV.

We wszystkich tych przypadkach występował jako „prym wiodący” skrzypek. Dzięki Orkiestrze Radia i Telewizji uzyskał prawo studiów w renomowanej moskiewskiej Akademii Muzycznej. Nie zgodził się, bo „pierwsza córka, tuż po ślubie w Piwnicy pod Baranami (AD 1971), była w drodze na świat. Secundo: przerażała nowożeńca i ojca Joasi perspektywa czterech - pięciu lat bezustannych ćwiczeń. Tertio? Z każdym dniem większe ciążoty do solowych koncertów instrumentalnych (skrzypce i coraz bliższa sercu trąbka) czy piosenkar-skich”. Post scriptum autora. Co ponadto z biegiem lat wciągało pana Zbigniewa, że jawił się rok w rok bardziej wyrazistym, znaczącym i popularnym mistrzem sztuki scenicznej - nie tylko z dziedziny muzyki, śpiewu, lecz także kompozycji, aktorstwa, realizacji telewizyjnych (programy „Droga do gwiazd”, „Zakochajmy się jeszcze raz” i. in.). Przede wszystkim, oczywista, piosenkarstwo wspierane akompaniamentem prawie nieodłącznych maleńkich skrzypiec.

Zaczęło się przed czterdziestu jeden laty (od razu nagrodą!) w Opolu. W ślad za X Festiwałem Piosenki Polskiej posypały się wkrótce sukcesy na festiwalach w Rostocku, Pradze, Słonecznym Brzegu, Sopocie. Były i autorskie „zgrania” w albumach studyjnych (11), filmach wąsko - lub szerokoekranowych (9), płytotekach m.in. spod znaku platyny („jak wielu - tylko Bozia, która dała głos i wprawne ręce śpiewającemu muzykowi ze stolicy Małopolski, raczy wiedzieć”). - Ulubione, a przy tym najbardziej cenione piosenki? - powtarza „śpiewający muzyk”. - Te - słyszę w odpowiedzi, - które szczególnie hołubi publiczność: „Chałupy Welcome To”, „Zacznij od Bacha”, „Izolda”, „Pszczółka Maja”, „Znajdziesz mnie znowu”, „Z Tobą chcę oglądać świat”. Może również kilka innych, na przykład: „Dobranoc, dobranoc”, „Lubię wracać tam, gdzie byłem”, „Nad wszystko uśmiech Twój”, „Niech się w nas goi...”, „Opowiadaj mi tak”, „Ty, tylko Ty”, „Nauczmy się żyć obok siebie”, „Tak bardzo wierzę w nas”, „Trwoga”...

It'd. itd. Cała dewiza rozmówcy: Oby Los - Bóg pozwolił ciągnąć dalej i dalej, maksymalnie długo. Tym wszak żyję.

Satysfakcji w damieńskim kościółku - obustronnej! - jesteśmy pewni, Maestro.

Jerzy R. Lissowski, Słupsk

W procesie globalnego ruchu kapitału „dobro publiczne”, to towar, a struktury mediujące (związki, stowarzyszenia, obywatele), to przeszkoda. Państwo jest zdegradowane lub samo się degradowuje, uciekając od odpowiedzialności przez przesuwanie agend i funduszy do obszarów, nad którymi nie ma już kontroli

Polityką w zabytki



Fot. J. Maziejuk

Wciągu sekwencji czasowych historycznych i współczesnych istotne dla problemu i losu zabytków były lata dziewięćdziesiąte. W 1989 roku rozpadł się komunizm w Polsce, a jego koniec to swoista „rewolucja menedżerska”. Dokończyła się rewolucja polityczna, a właściwie już przed rozpoczęciem zakończyła społeczna. Reguły gry zmieniły się, połączyły się stare z nowym, zachowały się uprzywilejowane statusy.

W warunkach spóźnienia i globalnego współzawodnictwa przyjęto strategię

formowania kapitału przez komercjalizację państwa. Wiele jego obowiązków, jak: ochrona zdrowia, zabezpieczenie na starość, część opieki społecznej, restrukturyzacja przemysłu i rolnictwa, zarządzanie mieniem powojnowym, zasobami ziemi państwowej i lasów, prywatyzacja, przygotowanie wielkich inwestycji infrastrukturalnych (autostrady) itp. przejęły wyłonię z organizmu państwowego agendy komercyjne. Po otrzymaniu zarządu nad majątkiem publicznym, agendy działają według reguł rynkowych, mają prawo

dokonywania za pomocą tego majątku operacji na własny rachunek, a jeśli tak, to do samodzielnego określania warunków gratyfikacji za wypełnianie państwowych obowiązków. Wiele takich „ciał” wykonuje zadania dla „sektora publicznego”, również takie, które są niejako równoległe do administracji rządowej.

Efektem komercjalizacji było wprowadzenie do organizmów państwa innych standardów racjonalności niż obowiązujących nadal w sektorze nieskomercjalizowanym, opartych na regulacjach prawa handlowego i poza zasięgiem kontroli i koordynacji przez administracyjne instrumenty. Zmieniła się tu również hierarchia celów, czyli porządku tego, co chce się maksymalizować i tego, co traktuje się jako koszt.

Komercyjna logika minimalizowania kosztów transakcyjnych przyjęta przez agendy państwa po ich reorientacji na racjonalność rynku prowadzi m.in. do marginalizowania usług społecznych o wysokich kosztach, traktowanie „dobra wspólnego” na równi z innymi towarami, redukowanie współpracy z państwem i odwrotnie: kooperacja jako wartość sama w sobie, podobnie jak altruizm i międzypokoleniowa solidarność nie mieści się w ramach nowej racjonalności.

W procesie globalnego ruchu kapitału „dobra publiczne”, to towar, a struktury mediujące (związki, stowarzyszenia, obywatele), to przeszkoda. Państwo jest zdegradowane lub samo się degraduje, uciekając od odpowiedzialności przez przesuwanie agend i funduszy do obszarów, nad którymi nie ma już kontroli. Wybór cywilizacyjny dokonuje się jakby we śnie, poza nami i bez dyskusji publicznej.

Nastąpiła depolityzacja sfery władzy: „rządzenie”, to zarządzanie ograniczonymi środkami, karuzela stanowisk i rytuał wyłaniania klasy politycznej w instytucjach demokratycznych. Fenomen komercjalizacji państwa z fazy transformacji, tzw. „kapitalizmu politycznego” (tu decyzje polityczne kształtowały zasady przesuwania kapitału z sektora państwowego i budżetu państwa) przeszedł w fazę „kapitalizmu sektora publicznego” realizującego się poniżej poziomu politycznego. Formuła ta działająca już poza zasięgiem instrumentów kontroli i koordynacji przez państwo i polityków, zmieniła się jakościowo, swoista symbioza państwa i rynku otrzymała miano „sektora publicznego”. Wewnątrz państwa między podmiotami dochodzi do funkcjonowania według konfliktowej logiki w aparacie wykonawczym, między segmentami biurokracji i skomercjalizowanymi agencjami tego samego resortu. Dochodzi do symbiozy z elitami zewnętrznymi, (związki zawodowe, stowarzyszenia pracodawców, elity poszczególnych partii). Trwałość tej formuły komercjalizacyjnej ułatwia krążenie elit, przepływ zasobów, personelu, wolnokonkurencyjny rynek ulega deformacji.

Ten „kapitalizm władz wyłączonych” pasuje do środków finansowych, którymi dysponują agendy i fundusze pozostające poza kontrolą polityki i stanowiące autonomiczne, wyłączone ośrodki władzy.

Rynek, podobnie jak państwo, składa się z pajęczyn spajanych klientyzmem, pomieszaniami politycznymi i ukrytymi służbowymi. Specyficznym zjawiskiem jest fenomen nie „elit władzy” a „klasa polityczna” z odmiennymi identyfikacjami symbolicznymi przy jednoczesnym poczuciu wspólnoty interesów, a w niej możliwości „krążenia elit” i utrzymywania proporcjonalnej ordynacji wyborczej (eliminacja ludzi o antysystemowej orientacji). Krążenie elit między stanowiskami państwowymi a pozycjami w sektorze publicznym czytelne jest w radach kas chorych, radach nadzorczych, w skomercjalizowanych firmach państwowych, zarządach funduszy celowych, fundacjach współfinansowanych przez państwo, agendach (np. Agencja Mienia Wojskowego) i in. To dowód rozbudowanego klientyzmu politycznego i ekonomicznego.

Komercjalizacji towarzyszy rozpraszanie środków i jej dysfunkcjonalność w zakresie realizacji zadań, którym fundusze miały służyć. Stworzono sytuację utrzymywania formuły ułatwiającej redystrybucję i formowanie prywatnego kapitału oraz podtrzymującej partię polityczną z ich nową formą zaplecza, tj. organizacjami pozarządowymi.

Tkwiąc w strukturach państwa na poziomie rządowym i samorządowym, w parlamencie i partiach politycznych ma się większą szansę uczestniczenia w gratyfikacjach ekonomicznych z tytułu komercjalizacji funduszy publicznych.

Realizowanie zadań państwa poprzez rynek nie tylko odpaństwia (bo brak instrumentów politycznej kontroli), ale i odspołecnia, co gorsza, równoległe nie zwiększa się w widoczny sposób racjonalność rynkowa. Samorządy są zderzakiem dla konsekwentnego redukowania pozostałości państwa opiekuńczego, bo administrują bardzo skromnymi środkami. Jednocześnie zasada „kontraktów” i komercjalizacji funduszy pozwala tworzyć „klientelizm” jako namiastkę władzy. Obywatel pozbawiony jest własnej suwerenności, a świadomy własnych tylko symbolicznych gestów bez pokrycia stał się bezbronny i pasywny. Wycofuje cesję daną państwu do kontroli tego co państwo spełniało dotąd. Poznanie tych kilku spostrzeżeń socjologicznych lub - jak ktoś powie - czysto politycznych jest niezbędne dla zrozumienia nie tylko tego, co się dzieło w sferze publicznej, gospodarczej czy finansowej, ale pomoże zrozumieć jakiego działania należy oczekiwać w otoczeniu rynku zabytków - specyficznego towaru, uczestnictwa na tym rynku, własności itd. Powie ktoś, co mają wspólnego zabytki z podanymi wyżej



odpryskami wiedzy o procesach towarzyszących transformacji i polityki funkcjonowania państwa, gospodarki, własności etc. Czy te socjologiczne natury spostrzeżenia mają jakiegokolwiek znaczenie w rozchwianej politycznie Polsce, a z powodu kryzysu odbijającego się od polskich drzwi nie są przydatne bardziej protestującym związkowcom czy kontestującej części społeczeństwa?

Taka technologia socjologiczna - materiał opisujący mechanizmy funkcjonujące w ramach „kapitalizmu państwowego bez państwa” ma walor nie tylko poznawczy w sferze ekonomiczno-społecznej. Pozwala zrozumieć połowiczność ustawowego wyodrębniania własności prywatnej i publicznej i dostrzec rytuały przysłaniające rzeczywistość. Innego znaczenia nabyły takie terminy jak „dobra publiczne”, „cel publiczny”, „dobra narodowe”, „dorobek wieków”, „własność”, „powinność obywatelska”,



Fot. J. Maziejuk

komercjalizację, czyli przekształcanie firm w spółki celem prywatyzacji przez sprzedaż akcji lub udziałów (indywidualna prywatyzacja lub wniesienie akcji lub udziałów do NFI - prywatyzacja powszechna); prywatyzację bezpośrednią (sprzedaż, wniesienie do spółki, oddanie do odpłatnego korzystania) z możliwością rozporządzania przez organ założycielski wszystkimi składnikami materialnymi i niematerialnymi przedsiębiorstwa oraz likwidację przedsiębiorstw ze względów ekonomicznych.

Zabytki podlegały innym unormowaniom niż powyższe segmenty gospodarki. W oparciu o ustawę z 19 października 1991 roku (Dz.U. tekst jednolity 1995 Nr 57, poz. 229) majątek byłych PGR został włączony do Zasobu Własności Rolnej Skarbu Państwa, a dysponowała nim jako instytucja powiernicza Agencja Własności Rolnej Skarbu Państwa rozdysponowując mienie Skarbu Państwa po PGR i Państwowego Funduszu Ziemi. Tu przykładowo Oddział Terenowy AWRSP w Koszalinie, obejmujący działaniem województwa koszalińskie i słupskie, przejął do Zasobu blisko pół miliona hektarów gruntów oraz ogromną liczbę obiektów inwentarskich, magazynowych, pomocniczych, przemysłu rolnego oraz przetwórczych. Wraz z nimi przejął liczne budowle mieszkalne, w tym również atrakcyjnie położone rezydencje wiejskie - pałace, dworki, które mogły stanowić oddzielną ofertę sprzedaży.

Po latach dobrze się ogląda Katalog AWRSP, ambitny, a jakże - w trzech językach (polskim, niemieckim, angielskim), sytuowany na tle bogato opisanego województwa i gminy, z opisem i towarzyszącymi atrakcjami. Wystarczyło złożyć ofertę Agencji i wdrożyć postępowanie zbycia, przystąpić do udziału w przetargu oferując najkorzystniejszą cenę. Jakże to proste - napisano w indywidualnych ofertówkach zabytków.

Z tego katalogowego zestawu wyłużyłem trzy pałace: w Krzywaniu, Słonowicach i Kartkowie i trzy zespoły pałacowo-parkowe: w Grapicach, Kończewie i Cecnowie - wszystkie znajdujące się w granicach powiatu słupskiego.

Ponownie odwołując się do małego rocznika statystycznego z 1999 roku znajduję informację, że według stanu na 31 grudnia 1998 roku „...w podmiotach biorących udział w procesie prywatyzacji (w różnych spółkach) pracowało 1 269 900 osób...”. Jeśli przyjąć, że biorący udział i pracujący jest tożsamy z przyszłym właścicielem spółki uczestniczącym w prywatyzacji, to jest on również potencjalnym kandydatem na właściciela zabytku. Taka interpretacja własnościowa jest zapewne mylna, niemniej nie można wykluczyć, że jakiś odsetek właścicieli spółek stał się nie tylko właścicielem zabytkowej rezydencji, ale przedtem utrzymał w kondycji finansowej firmę, wyremontował zabytek itp.

Wiele przykładów dowodzi, że spółki po zawirowaniach rynkowych przerywały roboty modernizacyjne na zabytku, a pozostałości (tj. ogrodzenie, tablica o właścicielu i zakazie wstępu) dziś tylko odstrasza.

Piszę o domniemaniach własnych, zasłyszanych informacjach o komornikach, upadłościach etc., tu możliwości zdobycia wiedzy na ten temat są ograniczone z powodu braku statystyk i rygorów dotyczących tajemnic (prawo handlowe, ochrona danych osobowych, i in.) lub braku ochoty do uruchomienia własnej aktywności zwiadowczo-tropicielskiej, z różnych zresztą powodów (koszty, przedzieranie się przez różne szczeble administracyjne, ograniczeń wynikających z prawa własności, tajemnicy handlowej itp.).

Niemniej przywołam tu przykład aktualnego ogłoszenia w internecie o właścicielskiej sprzedaży za 850 tys. zł pałacu w Żelkach, w gminie Kobylnica, który po wykonaniu wstępnych robót zabezpieczających rozpoczął smutną drogę dewastacji lokalnej zbliżając się szybką drogą do statusu destruktu. Inny przykład, to przetarg komorniczy z Sądu Rejonowego w Oleśnicy, dotyczący pierwszej licytacji nieruchomości gruntowej o powierzchni 1,216 ha zabudowanej zespołem pałacowo-parkowym w Borowej, w gminie Długołęka w powiecie wrocławskim (wpisany do rejestru zabytków w 1990 roku z pałacem o powierzchni użytkowej 2 286,5 m²) z ceną wywoławczą 21,064 mln złotych.

Czym zakończy się owa licytacja? Zapewne kolejnymi licytacjami, jak to miało miejsce z przetargami dotyczącymi pałacu i parku w Ściegnicy w gminie Kobylnica (cena już tylko 800 tys. zł - czyli 400 tys. z 50-procentową ulgą dla nabywcy z racji statusu zabytku. I tak to się szczęśliwie dla zabytku kręci.

Budowanie rynków kapitałowych i ideologiczne wyodrębnianie własności powinno od lat dziewięćdziesiątych wykreować trwałą i finansowo krępką klasę średnią, z tymi wszystkimi walorami i przydatkami, jak kindersztuba, pamięć o korzeniach, tradycji, ucieczka od uniformizacji i przede wszystkim kasa, która z szeroką pomocą państwa mogłaby się stać właścicielem stylowego zabytku, rezydencji. Nic bardziej złudnego i mylnego, nie powstała i nie powstaje ta lepsza część społeczeństwa, ani na fali koniunktury ani przytłoczona dekoninkunkturą gospodarczą i kryzysowym zastojem. Ta najlepsza część dziś to nie chłop na roli, a sól tej ziemi - przedsiębiorca. Z taką sytuacją współgrają kolejne przepisy, tj. ustawa z 23 lipca 2003 roku o ochronie zabytków i opiece nad zabytkami. Warto dokładniej przyjrzeć się jej treści, ale zrobię to już w kolejnym tekście.

Czesław Guit, Lubuń

Tekst opracowano na podstawie: J. Staniszkis „Postkomunizm”, wyd. słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2005.

„tożsamość historyczna, „obowiązek państwa”, „aktywność społeczna”, etc. Nie wydaje się by wtręty dotyczące oceny socjologicznej, politycznej i jakby to nie próbować nazywać nie były potrzebne dla próby zdiagnozowania rynku zabytków.

Historycznie rzecz biorąc podstawowe kierunki i zasady przekształceń własnościowych zostały określone 1 sierpnia 1990 roku ustawą o prywatyzacji przedsiębiorstw państwowych i obowiązywały do 7 kwietnia 1997 roku. Kolejna ustawa z 30 sierpnia 1996 roku o komercjalizacji i prywatyzacji przedsiębiorstw państwowych (Dz.U. Nr 118 poz. 561) obowiązująca od 8 kwietnia 1997 roku wraz z innymi ustawami towarzyszącymi (np. o gospodarowaniu nieruchomościami rolnymi Skarbu Państwa, o przekształcaniach własnościowych niektórych przedsiębiorstw, o NFI i ich prywatyzacji) pozwoliła realizować trzy metody postępowania z przedsiębiorstwami:

Wigilia u Marii Dąbrowskiej



Miejska Biblioteka Publiczna w Słupsku dba o zachowanie tradycji, zaś literacki kontekst związany z patronką słupskiej ksiąźnicy wprowadza w klimat prawdziwych świąt. Od kilku lat w bibliotece odbywają się Wigilie u Marii Dąbrowskiej. Przedświąteczne imprezy organizowane są przez bibliotekarzy i literatów. Bliskość literatury, obecność ludzi pióra, dźwięki muzyki płynącej z każdego kąta przyjaznej bibliotecznej przestrzeni sprawiają, że goście chętnie prezentują własną, jeszcze ciepłą twórczość. Wszak w każdym z nas kryją się pasje, które skrupulatnie przechowujemy w domowych szufladach. Do Biblioteki zapraszani są literaci, twórcy lokalni oraz czytelnicy. Impreza jest otwarta. Każda Wigilia to zaskoczenie. Nie przygotowuje się sztywnego scenariusza, on się sam tworzy.

Tegoroczna impreza przyciągnęła wspaniałych gości. Każdy przybył z podarkiem, z życzeniami, z uśmiechem i z dobrym słowem. Wśród dań wigilijnych królowały pierogi z kapustą słupskiego archiwisty, wspaniała kutia przygotowana przez czytelniczkę, pachnący jabłecznik Joli Nitkowskiej oraz mnóstwo innych potraw. Wieczór ubarwił wyjątkowy koncert Arkadiusza Kawałko, młodego pianisty i kompozytora, który po studiach w Krakowie wrócił do naszego pięknego miasta. Dźwięki starego pianina w przestrzeniach byłego kościoła św. Mikołaja brzmiały w tym dniu uroczystej. Artysta grał utwory Chopina, Liszta i Bacha. Koncert spotkał się z wyjątkowym odbiorem. Nie mogło zabraknąć słowa literackiego, kolęd, pastorałek i błogosławieństwa księży: księdza dziekana Zbigniewa Krawczyka i księdza prałata Jana Gariatowicza. Na Wigilię do Marii Dąbrowskiej przybyli również goście z Bytowa i Kobylnicy. Pani Helena Klingier przyjechała z gminy Kobylnica, aby móc opowiedzieć o swojej pierwszej Wigilii po śmierci mamy oraz o pierwszym dniu wolności. Historia pani Heleny wzruszyła wszystkich. Takie właśnie są Wigilie u Marii Dąbrowskiej, otwarte i pełne pozytywnych emocji.

Danuta Sroka, Słupsk

Fot. Archiwum Autora

*Boże Narodzenie
to czas pokoju,
wytechnienia od za-
pędzonego życia,
spotkań rodzinnych,
życzeń i przyjaźni.
Święta zawsze na-
strajają i tak bardzo
chce się zapomnieć
o troskach, chociaż-
by przy świątecz-
nym stole*

Maria Dąbrowska w sposób wyjątkowy ukazuje klimat wigilijnych wieczorów w rodzinnym dworku w Russowie w opowiadaniach pt. „Uśmiech dzieciństwa”. Zachęcam naszych czytelników do zapoznania się z literaturą tej niezwyklej pisarki. Dawniej wszystkie ozdoby robiono ręcznie, zapalano świece woskowe, które mocowano do choinkowych gałązek specjalnymi uchwytyami. Już od połowy listopada, wieczorami do stołu siadali rodzice z dziećmi. Rozmawiano o świętach, babcie i mamy opowiadały bajki, których bohaterem był Święty Mikołaj, krasnale i dobre kominkowe duszki. Dzieci pisały listy, robiły bibułkowe ozdoby, malowały orzechy i przygotowywały własnoręcznie prezenty dla rodziców. Ojciec wybierał się do lasu po drzewko razem ze swoją gromadką dzieci. Potęgowało to w domach przedświąteczną atmosferę. Te wieczory miały duszę. Dziś takie chwile zastępuje najczęściej wyprawa do centrum handlowego i oglądanie telewizji.



Fot. Archiwum Autora

Nie poddał się losowi

Najserdeczniej wspomina przyjaciół z Wrocławia, którzy pomogli mu w ciężkich pierwszych latach jego kalectwa



Fot. J. Maziejuk

Ostatni dzień 1974 roku, młodego, 18-letniego Romka rozsadza energia, razem z kolegami chce hucznie pożegnać stary rok, by z nowym wejść jako bardziej dojrzały, odpowiedzialny.

Okazało się w jego przypadku akurat odwrotnie. Pomimo przestróg i napomnień rodziców zabawa z fajerwerkami zrobiła swoje. Odpalał race jedną po drugiej. Kolorowe światełka rozbłyskiwały na tle ciemnej nocy. Zabawa była na całego.

Czyja wyżej, czyja piękniejsza. Przyszedł czas odpalić petardę. Oczywiście, zrobił to Romek. I petarda wybuchła mu w lewej dłoni. Urywa ją powyżej nadgarstka. Jest godzina 23.00. Niewiele już czasu zostało do Nowego Roku. Nie czuje nawet bólu. Jest w szoku. Któryś z kolegów zatrzymuje przygodną taksówkę i ta wiezie go do Pogotowia Ratunkowego przy ulicy Wojska Polskiego w Słupsku. Tu traci przytomność. Nowy Rok wita w szpitalu. Jest załamany.

petarda wybuchła mu w lewej dłoni

Wszystko mu runęło. Jak będzie dalej żył, pracował, jaka dziewczyna zechce chłopaka z jedną ręką? Widzi swoje życie w ciemnych barwach. W tamtych latach medycyna nie była jeszcze na takim poziomie, na jakim jest dzisiaj.

Wyjeżdża do Wrocławia, bo jest tam bardzo dobry ośrodek rehabilitacyjny. Przed wypadkiem trenował siatkówkę w słupskim „Elektryku”, którego był uczniem. W związku z tym zaproponowano mu grę w drużynie siatkówki inwalidów. Początkowo nie chciał nawet o tym słyszeć. Uznał tę propozycję jako ponury żart. Ale przemógł się. Pewnego dnia poszedł na spotkanie. Stał na środku sali i zobaczył, że są jeszcze bardziej od niego poszkodowani. Zaczął trenować. Podczas meczów zapomniał o swoim kalectwie. Ważne było to, co działo się na boisku. Ważny był wynik meczu, drużyna, koledzy. Jeszcze raz sprawdziło się powiedzenie: „Co cię nie zabije, to cię wzmocni”. I tak też się stało w jego przypadku. Dziś może powiedzieć, że sport jest najlepszym lekarstwem i rehabilitacją dla człowieka okaleczonego.

Po kilku latach spełnia się jego największe marzenie. Wystąpi na Olimpiadzie! - Było to wielkie przeżycie - powie po latach. - Znalazłem się przecież wśród najlepszych. Postanowiłem, że nie zawiodę, dam z siebie wszystko, pokażę na co mnie stać. I nie zawiodłem.

Romuald Rosiak został srebrnym medalistą szóstej Paraolimpiady w Arnhem w Holandii, w siatkówce na stojąco. Był rok 1980. Srebrnym medalistą został zawodnik ze Słupska, bo po kilku latach pobytu we Wrocławiu wrócił do rodzinnego miasta. Był zawodnikiem tutejszego „Startu”. Zrzeszenie Sportowe Spółdzielczości Pracy było wtedy jedyną organizacją zajmującą się sportem inwalidów.

Po sukcesie na Olimpiadzie przyszły inne sukcesy: w 1984 roku został srebrnym medalistą Mistrzostw Świata w Delden w Holandii i w tym samym roku - srebrnym medalistą Mistrzostw Europy, w także w Delden w Holandii. W 1985 roku jest brązowym medalistą Mistrzostw Świata w Krystiansand w Norwegii i brązowym medalistą Mistrzostw Europy w Norwegii. Wcześniej był Mistrzem Polski - w latach: 1975, 1977, 1979, Wicemistrzem Europy w roku 1979 w Amsterdamie-Harlem w Holandii. Odznaczony został srebrnym i brązowym medalem „Za wybitne osiągnięcia sportowe”, złotą odznaką „Zasłużony dla województwa słupskiego”, złotą odznaką Trzydziestolecia Związku Sportowego „Start”.

W osobistym życiu Pana Romualda też nastąpiły zmiany. Nie miał już obaw, że żadna dziewczyna nie pokocha go takim, jakim się stał po feralnej sylwestrowej nocy. Przyszła miłość, a na imię jej było Maria. Została jego żoną, mają dwóch wspaniałych synów - Dominika i Mariusza. Pan Romuald pracuje w Spółdzielni Inwalidów „Gryf”,

sam w dużej mierze projektuje swój nowy dom, rozwiązuje ciekawie pomysły dotyczące pomieszczeń. Sam wykonuje większość prac, bardzo lubi majsterkować. Kocha przyrodę, więc tak zaprojektował okna, żeby były żywymi obrazami z każdej strony domu, zmieniającymi się podczas pór roku. Kocha drzewa, najbardziej brzozy, które rosną wokół domu. Na nich jest pełno ptasich gniazd, pozawieszał budki lęgowe, jest niezliczona ilość karmników. Wybudował domek dla bezdomnych kotów, ocieplił styropianem i już zasiedliło go pięciu lokatorów. Wszystkich dokarmia, bo jak twierdzi, każdy chce żyć. Jedyne na co narzeka, to na brak czasu. Pochłania go sport. Nadal jest czynnym zawodnikiem, udziela się w szkołach. Wiele pracuje z młodzieżą. Ma wielu przyjaciół w całej Polsce. Najserdeczniej wspomina przyjaciół z Wrocławia, którzy pomogli mu w ciężkich pierwszych latach jego kalectwa. Ceni sobie bardzo znajomość z Marią Sobiech-Osmańską, oszczepniczką wielkiej klasy, mimo niepełnosprawności. Na pytanie, kto jest jego idolem w świecie sportowym, odpowiada, że zawsze fascynował go Wojtek Fibak. Jako cieka-



Fot. J. Maziejuk

wostkę zdradza, że bardzo lubi pitrasić w kuchni i czuje się w tym bardzo pewnie. Już przyrzęczał świąteczny bigos, twierdzi z całą odpowiedzialnością, że nie ma lepszego. Myśli już o rybach „na wiele sposobów”, oczywiście sam dopilnuje barszczu i pierogów. Ale te ostatnie będzie musiał mu ktoś pomóc lepić.

Podkręcając wąsa, Romuald Rasiak uśmiecha się, życząc wszystkim wesołych i bezpiecznych świąt. Jest przekonany, że najważniejszą batalię już w życiu wygrał. Nie poddał się złemu losowi.

Henryka Jurałowicz-Kurzydło, Słupsk

Moja opowieść

Boże Narodzenie i dla mnie ma kształt miłości. Jest ona przecież atrybutem Boga. Codziennie jej doświadczam

Wieczór Wigilijny - wyzwolił we mnie szaleńczą myśl. Podobno tej nocy - zwierzęta mówią ludzkim głosem. Pomyślałem więc, dlaczego ja nie miałbym przemówić do nich w tę osobliwą noc - zwierzęcym głosem. Ale gdzie dziś spotkać zwierzęta? Oczywiście - w „ogrodzie zoologicznym” tylko. Udałem się tam dyskretnie nocą, w nadziei sprawdzenia wiarygodności tej osobliwości. Okazało się, że nie byłem sam. Tłum ludzi oczekiwał tego samego. Ponieważ inteligencja polega na umiejętności przystosowania się do nowych warunków i okoliczności - pierwszy zagadnąłem zwierzęcym (w imieniu wszystkich zebranych) głosem. Wydałem kilka nieskoordynowanych dźwięków baranich na kurtuazyjne powitanie i pojednanie, także na chęć nawiązania dialogu pokojowego. (Takie językowe „esperanto”) Czuliśmy się też bezpiecznie, widząc żelazne od nich ogrodzenia. Paradoksalnie zwierzęta też czuły się spokojne, widząc odgradzający ich od nas, czeloko-kształtnych żelazny mur bezpieczeństwa.

Powikłanie akcji - jak to w życiu bywa - nastąpiło nieoczekiwanie. Początkowo, pojednawczy dialog miał pogodną atmosferę, nawet kurtuazyjną, bo zrewanżował się Słoń Trąbalski i to poprawną polszczyzną. Jednak obszar zachowań i myśli w życiu zbiorowym, rządzi się innymi prawami. Myśli pojedynczych osób stają się anonimowe i nie przywiązane są jednostkowo. Pomimo braku możliwości personalnej identyfikacji zwierząt w ZOO (ktoś wyłączył monitoring) - dało się słyszeć w naszym kierunku słowa: „jak się masz wujku knurze i ciociu macioro?”, „pozdrowienia dla kuzyna padalca”, „niech siostra mewa śmieszka choć raz będzie poważna”, „niech kuzynka hiena - nie będzie tylko cmentarna”, „czy siostrzeniec leniwiec - podejmie wreszcie pracę?”, „sąsiadko kocico, daj spokój z ciągłym podrywaniem”, „zostań jeszcze mało



spowinowacona, nie wyrzekaj się naszych związków genetycznych” itd., itd. Tylko owce - po dwu stronach płotu - sprawiały wrażenie mało mównych i smutnych. Pewnie dlatego, że miały mężów - baranów.

Tym życzeniom i oczekiwaniom (przeobrażonym w pretensje) nie byłoby końca, ale liczba ciekawskich ludzi drastycznie malała! Pozorując konieczność kulinarnych wypieków - i pomijając wypieki na twarzy - pospiesznie się oddalali, za wszelką cenę pragnąc zachować swoje genetyczne incognito. Tylko jedna pani z naszej strony, reprezentująca kurę domową - wygarnęła na odchodnym: „Ja śpię na leżaku przykrywając się własnym paltem a wam Unia zapewniła większy metraż klatek, także humanitarną, bo bezbolesną śmierć. Żle wam jeszcze?” - zagadkała pretensjonalnie.

Zanim wyszedłem z ogrodu zoologicznego ostatni - też usłyszałem kilka

Wigilijna

uwag i pouczeń. Zwierzątka te miały - o czym wcześniej już wiedziałem - uzasadnione do mnie pretensje: „Dlaczego nasz przyjacielu robisz atrakcje z naszych zdolności językowych, skoro ludzie - i to przez cały rok - komunikują się naszymi językami, zachowaniami i priorytetami?”. Nie umiałem im tego logicznie wytłumaczyć słowami, choć nadal logicznie myślałem. Powiedziałem tylko - „święta, święta, i po świętach”. To je uspokoiło ostatecznie. Pomimo żenujących mnie doświadczeń z ludźmi i zwierzętami - wracałem do domu pogodny. Nadchodził przecież świąteczny czas.

Prowokując Czytelnika żartobliwą formą i często prześmiewczym postrzeganiem wad i ułomności ludzkich - pragnę też nadać poważny ton swoim wypowiedziom. Zawsze. I choć nie jestem jarmarcznie praktykujący, i choć mam świadomość „bycia ku śmierci”, i choć zgasła moja Miriam (czyt. - Gwiazda), - nie przeraża mnie to. Wiara jest dla mnie - kosmicznym w swej wielkości pytaniem, nie - odpowiedzią. Specyficznym wymogiem ludzkiego myślenia jest logika albo wyobraźnia. Każde pytanie może być i jest intrygujące dla człowieka, choćby takie: po co jednemu rodzajowi ludzkiemu potrzeba tyle miliardów twarzy, osobowości czy intelektów? Czy każdy z nas jest uzasadnionym wyjątkiem? A różnorodność i nierówność - musi warunkować wszelki ruch i działanie?

Moje polemiki z Bogiem zawsze były trudne, bo - ułomnie człowiecze tylko. Uważam też, że tylko Poezja jest jedyną drogą na zbliżenie się do Stwórcy i poznawania Prawdy, choć każdy ma przecież różnie wyznaczoną do Boga ścieżkę. Rozumienie przeze mnie Wiary - metafizycznie i poetycko pojmowanej - najtrafniej definiuje (a mnie wprost zachwyca) B. Leśmian: „Tak o Tobie nic nie wiem, tak cudownie nic nie wiem, / Że miłością jest ta moja - niewiedomość”.

Boże Narodzenie i dla mnie ma kształt miłości. Jest ona przecież atrybutem Boga. Codziennie - myślę - jej doświadczam. Sprawdziłem to na swoim trudnym, ale też powikłanym ciekawie życiu. Nie jestem więc sam. Ośmielał się nawet myśleć, że jestem kochany. Wystarczająco. Czasem tylko zakłóci mój spokój myśl L. Staffa: „Jeżeli bolesne są już doświadczenia, jakże straszną prawdą być musi”.

Nie muszę więc dodawać, że o Bożym Narodzeniu myślę ciągle, a Noc Wigilijna trwa we mnie zawsze. Przez okrągły rok. To moje oczekiwanie na dalszą pomoc i miłosierdzie. Boże Narodzenie, to także - początek i koniec nas wszystkich.

Klemens Rudowski, Słupsk



Z Witkacego nie czerpię korzyści

Wywiad z Maciejem Witkiewiczem - spadkobiercą Witkacego, przeprowadzony przez Włodzimierza Lipczyńskiego

- Jak daleko sięga Pan pamięcią do wspomnień rodzinnych o ojcu i synu oraz matce gałęzi rodziny Witkiewiczów? Czy dziedziczy Pan osobiste pamiątki i czy bywał w domu na Antałówce?

- Urodziłem się w powojennej Polsce na Żuławach w miejscu, które było rekompensatą za litewski rodzinny majątek. Mój ojciec, Rafał Witkiewicz, syn Jana Koszczyca - Witkiewicza i Henryki z Rodkiewiczów (pasierbicy Stefana Żeromskiego), będąc inżynierem rolnikiem ustawiał powojenne rolnictwo w gminie Ostaszewo, a moja matka jako dyplomowana pielęgniarka działała w tamtejszej służbie zdrowia. Po dwóch latach, ze względu na jej zły stan zdrowia, rodzice przenieśli się do Warszawy, a mnie w tym czasie oddali pod opiekę zakopiańskiej ciotki „Dziudzi” osiadłej w swojej willi „Witkiewiczówce”. Właśnie tam stawiałem pierwsze kroki, a potem rokrocznie, mieszkając już na stałe w stolicy, odwiedzałem nasz rodzinny dom na Antałówce. Ukochana ciotka „Dziudzia” przeniosła się do

warszawskiego mieszkania, aby opiekować się bratem, wspomnianym wyżej Janem. Mieszkając po sąsiedzku, prawie codziennie miałem kontakt z dziadkami, a ponieważ



zauważyli u mnie duży potencjał artystyczny, byłem ich pupilkiem - dbali o moją edukację muzyczną i plastyczną. Oczywiście wiele opowiadali o wspaniałej rodzinie, a w szczególności o Stanisławie Witkiewiczu, który niewątpliwie był postacią kultową. O Witkacym mój ojciec wyrażał się z dezaprobatą i nawet czasami w odniesieniu do moich wybryków związanych z tym „ADHD artystycznym” mawiał: „... jednego błazna mieliśmy w rodzinie, drugiego nie chcemy wychować”. Jednak mając mocne oparcie w artystycznych dziadkach, stryjecznym rodzeństwie Witkacego (ciotka była znakomitą rzeźbiarką, a dziadek wybitnym architektem i głównym konserwatorem zabytków) mogłem bliżej poznać postać tego „błazna” jako rodzinie ciepłego, barwnego i bardzo zapracowanego człowieka. Potem, od 16 do 20 roku życia, po śmierci dziadków, mieszkalem w „Witkiewiczówce”, zazwyczaj podczas wakacji, w pracowni rzeźbiarsko-malarskiej wśród zgromadzonych tam rodzinnych pamiątek, z których te najważniejsze (głównie rękopisy, listy i zdjęcia) systematycznie znosiłem na plecach w darze do Muzeum Tatrzańskie. Wybrane portrety, jak i meble otrzymała ciocia Nina, żona Witkacego. Umeblowała nimi swoją warszawską kawalerkę, którą otrzymała dzięki wstawiennictwu Ksawerego Dunikowskiego od ówczesnego premiera Józefa Cyrankiewicza w hołdzie dla żony Witkacego. Nie żywiłem specjalnej estymy do prac stryjecznego dziadka, obcowałem z nimi prawie codziennie, ale gdy wygrzebałem z „domowego” śmietnika parę pogniecionych i odrzuconych węglowych portretów Jego najbliższych, to je delikatnie odprasowałem, oprawiłem w zakopiańskie ramy i przejąłem. Również inne pamiątki rodzinne, może te najmniej atrakcyjne, zabierałem do warszawskiego mieszkania, aby mi towarzyszyły i pomagały przetrwać lata mojej egzystencji podczas studiów i późniejszej pracy - one zawsze inspirowały do pracy poprzez świadomość przynależenia do rodziny artystycznej. Przy różnych ważnych wydarzeniach mogłem przekazać jakąś ich część (m.in. witkacowski rękopis i maszynopis z ręcznymi poprawkami ofiarowałem z okazji nadania imienia Stanisława Ignacego Witkiewicza warszawskiemu Liceum przy ulicy Elbląskiej, a ostatnio przekazałem słupskiemu Muzeum portrety oraz małe drobiazgi, tzw. „biurkowe”). Kiedyś ktoś z prasy stwierdził, że mogłbym być bardzo bogatym człowiekiem posiadającym prywatną kolekcję rodzinnych pamiątek. Może miał rację, ale ja należę do tej części rodziny Witkiewiczów, którzy nigdy nie byli interesowni. Pamiętam jak ciocia „Dziudzia” mawiała: „...właściwie nikt z naszej rodziny nie dorobił się fortuny - nie mamy do tego talentu”. Bezinteresownie przekazaliśmy do muzeów większą część rodzinnej spuścizny, jak również obiekty muzealne, na przykład Chatę Stefana Żeromskiego

w Nałęczowie, a „Witkiewiczówkę” musieliśmy tanio sprzedać, ponieważ należał się jej gruntowny remont, na który nie było nas stać i pewnie by ją upaństwowiono.

- Czy wielka i różnorodna spuścizna po przodkach jest przez Pana do końca rozpoznana i aktualizowana? Czy kataloguje Pan wszystkie nowe odkrycia na przykład w zakresie piśmiennictwa Witkacego lub fotografii. Czy jest Pan prawnym spadkobiercą i otrzymuje tantiemy autorskie?



- Jestem w komfortowej sytuacji odnośnie historii mojej rodziny, ponieważ już wszystko co się dało, zostało profesjonalnie zebrane i opracowane przez historyków literatury, sztuki, filozofów itd. Właściwie nie prowadzę żadnego archiwum tej „spuścizny po przodkach” ani opracowań. Oczywiście odkładam na półki biblioteczeki to co jeszcze mi zostało oraz to co otrzymuję na bieżąco. Owszem, onegdaj miałem propozycję od ZAIKS-u, aby jako męski, najstarszy potomek rodu Witkiewiczów przejąć sprawę tantiem, lecz nie pozwoliła mi na to lojalność wobec pozostałych członków dość licznej rodziny. Ale miewałem różne nieporozumienia z tym związane, ponieważ ZAIKS często odsyłał do mnie zainteresowanych na przykład wystawieniem dramatów itp. Zatem ogłosiłem, gdzie się dało, że twórczość Witkacego była i jest wolna od jakichkolwiek ograniczeń finansowych.

- Proszę o kilka słów na tematy dotyczące swojej edukacji, pracy zawodowej, naukowej, miejsca zamieszkania. Jakie były początki spotkania i powiązań ze Słupskiem i od kiedy się datują? Jak Pan wspomina ten okres?

- Jak wcześniej wspominałem moje „artystyczne ADHD” nie pomagało w systematycznej edukacji - notorycznie komplikowałem sobie życie (i tak, w jakimś tam stopniu, zostało do dzisiaj). Oprócz

warszawskiej podstawowej szkoły ogólnokształcącej uczęszczałem jeszcze do dwóch szkół: muzycznej w klasie skrzypiec i baletowej. Następnie w liceum grałem i śpiewałem w teatrze młodzieżowym w Pałacu Kultury i Nauki oraz, zwykle nocami, malowałem na płótnach dość osobliwe kompozycje. Po otrzymaniu dowodu osobistego wyprowadziłem się od rodziców i rozpocząłem samodzielne życie pracując jako robotnik transportowy w Banku PKO-S.A. Dwa lata później podją-

łem etat w PKZ-tach w Pracowni Konserwacji Malarstwa jako laborant, technik. Po roku zdałem do Akademii Sztuk Pięknych, gdzie studiowałem cztery lata nadal pracując. Bardzo dobrze zarabiałem, uczestniczyłem w wielu dodatkowych zleceniach - zarobiłem na dalsze życie. Jednak muzyka zwyciężyła. W rok zaliczyłem dyplom średniej szkoły muzycznej i z powodzeniem zdałem na studia śpiewacze. Już od pierwszego roku śpiewałem zawodowo m.in. w warszawskim Teatrze Wielkim, Filharmonii Narodowej i za granicą. Zaliczyłem trzy krótkie stypendia zagraniczne (Weimar, Siena i Moskwa) oraz zostałem laureatem konkursu śpiewaczego w Vercelli. Po studiach regularnie koncertowałem na estradach krajowych i zagranicznych filharmonii, występowałem w teatrach operowych. Jednocześnie, właściwie po dziesięcioletnich doświadczeniach artystycznych, rozpocząłem pracę jako pedagog śpiewu. Uczę już trzydzieści pięć lat w Akademii Muzycznych: sześć lat we Wrocławiu, trzynaście lat w Warszawie, a obecnie w Bydgoszczy.

Moje pierwsze spotkanie ze Słupskiem było dość nietypowe. Młodego pracownika PKZ-tów czasami wykorzystywano jako kuriera. Bodajże w 1965 lub 1966 roku wysłano mnie wiosną do słupskiego Muzeum Pomorza Środkowego z

zabytkowym mieczem po konserwacji. Przyjechałem rano sleepingiem, muzeum było zamknięte, więc z tym mieczem pojechałem autobusem do Ustki, aby trochę pobyć na plaży. Wróciłem do Słupska po południu i dokonałem aktu „zdawczo-odbiorczego”, podczas którego zapytano mnie o wiadome pokrewieństwo. Albo to zbieg okoliczności albo przeznaczenie - przemila pani kustosz oprowadziła mnie po świeżo otwartej galerii portretów Witkacego (była to zupełnie inna ekspozycja niż dzisiejsza, wydaje mi się, że utrzymać w bardziej nastrojowym, dość tajemniczym klimacie). Później nie miałem szczęścia do odwiedzin Słupska. Wpadałem przypadkowo; a to z dziewczyną, aby jej pokazać uroki tego miasta włącznie z portretową kolekcją, a to na koncert Festiwalu Pianistycznego, czy na „Schaefferiadę”. Nigdy nie demonstrowałem swego pokrewieństwa z Witkacym, a nawet uciekałem od skojarzeń - zawsze chciałem iść swoją drogą artystyczną, na pewno uboższą niż Jego, ale swoją! Już w ASP słyszałem przytyki: „nie bądź taki Witkacy”, potem nawet widziano pewne podobieństwa w twarzy, sylwetce (pamiętam jak ciocia Nina, Jego żona mówiła: „jak ty jesteś czasami podobny do Stasia i masz taki ciepły tubalny jak jego głos”). Poniekąd prześladował mnie ciągle, a już najwięcej po tej nieszczęsnej, niepotrzebnej ekshumacji! Nawet mało brakowało, a straciłbym życie tuż obok Jego grobu w Jeziorach na Polesiu (obecnie na Ukrainie), ale to już inna historia.

- Ostatnio pisałem o sensacyjnym przekazaniu przez Pana pamiątek po Witkacym dla Muzeum Pomorza Środkowego, co spotkało się z entuzjastycznym przyjęciem przez społeczność lokalną. Jest Pan uważany za mecenasa kultury w naszym mieście. W jakich gremiach uczestniczy Pan w Słupsku i swoją profesją oraz doświadczeniem wspomaga rozwój kultury?

- Siedemdziesiąt kilometrów od Słupska mam działkę letniskową, a więc w godzinę mogłem dotrzeć na koncert organizowany przez mego dyplomanta Janusza Monarchę. I tak wpadłem na mocno „deszczowego” Mozarta wystawionego na Rynku przed Ratuszem. W ten sposób skojarzono moją osobę z rodzinnymi koneksjami „tych” Witkiewiczów. Gdy Teatr Nowy mianował się imieniem Witkacego, poproszono mnie o dokonanie aktu przecięcia wstęgi - dokonałem tego ciupagą, którą dostał od swego ojca chrzestnego Sabaty. I właściwie od tego momentu rozpoczął się mój swoisty „romans” ze Słupskiem. Zacząłem uczestniczyć w bardzo pięknych przedsięwzięciach nawiązujących do twórczości i postaci Witkacego.

Byłem gościem honorowym na festiwalach „Witkacomania”, konkursach „Witkacy pod strzechy”, byłem też gościem na premierach Teatru, z którego znakomitym zespołem zaprzyjaźniłem się po wspólnej „wyprawie z Witkacym” na Ukrainę. Pierwszymi przewodnikami, dobrymi i kreatywnymi „duchami” niewątpliwie byli: Jola Krawczykiewicz, Ryszard Kwiatkowski i Zbyszek Kułagowski. Potem miałem okazję poznać wielu prawdziwych słupskich entuzjastów unikalnej muzealnej kolekcji. Będąc jurorem ekscentrycznym wspomnianego konkursu oddałem przeznaczone dla mnie honorarium na dodatkowe nagrody, ponieważ jestem konsekwentny postanowieniu, że „z Witkacego nie będę czerpał korzyści finansowych” - czemu dałem też wyraz w akcie darowizny dla muzeum, zainspirowany delikatnym westchnieniem wspaniałego pana dyrektora Mieczysława Jaroszewicza, że „...tak trudno nam zdobyć fundusze na nowe obiekty”. Kiedy przyjechałem na oficjalne podziękowanie, a zebrana w Sali Rycerskiej publiczność chciała mi śpiewać „sto lat” - zaprotestowałem słowami: „...to ja powinienem zaśpiewać Państwu, ale dzisiaj nie mam pianisty!”, złapano mnie za te słowa i zaproszono w 2012 roku na majową „Noc w Muzeum” - „Maciej Witkiewicz (bas-baryton), stryjeczny wnuk, zaprasza na wystawę portretów Witkacego”. Zaśpiewałem więc z towarzyszeniem pianistki



Fot. Archiwum Autora

Medei Berianidze recital złożony głównie z polskich pieśni artystycznych, poświęcony tradycjom muzycznym naszej rodziny, a w lipcu, też bezinteresownie, wziąłem udział w Operowej Gali w Dolinie Charloty.

- Proszę uchylić „rąbka tajemnicy” na tematy osobiste? Jak Pan odbiera miasto Słupsk i ocenia mieszkańców. Co Panu się tu podoba, a co można zmienić?

- Mieszkam nadal w stolicy z jedną żoną (od czterdziestu lat), również emerytowaną wybitną śpiewaczką, a przeważnie trzymiesięczne wakacje spędzamy na skromnej nadmorskiej działce. Parę razy w roku odwiedzają nas niezwykle utalentowane wokalistki: nasza córka Emilia ze swoją córką (a naszą wnuczką) Alusią. Od trzech lat, we wrześniu wpadam na parę dni do Słupska, aby czynić coś w rodzaju witkiewiczowskich honorów na „Witkacomaniach” z okazji kolejnej rocznicy śmierci stryjcznego dziadka. I wtedy bywam urzęczony tym co dzieje się w tym przepięknym mieście, którego jedną z wizytówek stała się słynna na cały świat największa galeria portretów Witkacego. Twórczość i osobowość Stanisława Ignacego Witkiewicza rzeczywiście trafia tutaj najintensywniej pod symboliczne „strzechy”, jest w sposób nowoczesny kulturowana i upowszechniana na różne sposoby. Można śmiało zauważyć pewnego rodzaju codzienność społecznego obcowania z „duchem” tego tak wielce wszechstronnego mistrza, którego każdą formę twórczą można wkleić w naszą polską rzeczywistość. Niewątpliwie był on wielkim Polakiem, tworzącym bez cienia kosmopolityzmu, co zawdzięczał swojemu wspaniałemu ojcu. Żeby poznać najlepiej Witkacego należy przestudiować ogromny tom „Listów do syna” autorstwa Stanisława Witkiewicza, ponieważ jest to świetna edukacja dla młodych ludzi o dużym temperamencie artystycznym i ciekawych świata. W Zakopanem nie ma takiej szczerej atmosfery skierowanej ku propagowaniu, upowszechnianiu wiadomości o Witkacym i jego spuściźnie - ja odczuwam tam zakłamanie i perfidną komercję uprawianą głównie przez Teatrzyk wystawiający amatorskie, „zakrapiane spektakliki” o tym i owym, skierowane głównie do snujących się w snobistycznym amoku wczasowiczów lub sfrustrowanych redaktorków, a także innych „pseudo witkacowskich działaczy”. Zakopane to przecież „Mordowar” talentów z „Sonaty Belzebuba”, a więc autor wyraźnie ostrzega ambitnych twórców przed tym miejscem, które powinno być zarezerwowane przede wszystkim dla jego ojca, tak mocno związanego z góralszczyzną. Witkacego pociągały miasta dynamiczne, takie jak na przykład Warszawa, a teraz Słupsk, któremu pośmiertnie daje nowe oblicze polskość. Ogromnie raduję mnie plany inwestycyjne dotyczące stworzenia w oddzielnym budynku Galerii Portretów Witkacego, zagospodarowania terenu rekreacyjnego - parku Witkacego z osobliwymi atrakcjami itp. Wszystkie tego rodzaju akcje gorąco podziwiam, gdyż są wynikiem autentycznej spontaniczności ciągle młodych duchem i intelektem mieszkańców Słupska.

Dziękuję Panu za rozmowę i życzę dalszego pogłębienia więzi ze Słupskiem.

w naturalnym wnętrzu starego młyna scenograf umieścił kostki słomy, dawne sprzęty rolnicze z kosą i orczykiem

„Wścieklica” z współczesnością



Reżyser słupskiego przedstawienia Jacek Bunsch swoją inscenizacją „Wścieklicy” stawia widzom pytanie o potrzebę silnych osobowości we współczesnym świecie

Rozalia Wścieklicowa dopięła swego! Wysforowała mężo-synka ze wsi Niewyrypy Dolne do wielkiej polityki. Najpierw Jan Maciej Karol Wścieklica, który do piętnastego roku życia pasał świnie, się z nią z wielkiej miłości ożenił, później poszedł w politykę - i w takiej funkcji poznajemy bohatera dramatu Stanisława Ignacego Witkiewicza. Nie koniec jednak na tym babskich ambicji - Rozalia (Marta Turkowska) knuje polityczno - seksualną aferę - którą, jako widzowie obserwujemy - by Wścieklica (Krzysztof Kluzik) został prezydentem.

Gorzka współczesna polityczna historia - jakby Stanisław Ignacy Witkiewicz był autorem projekcji losu chłopskiego polityka spod Darłowa. Ideę dramatu można również sprowadzić do absurdów demokracji wynoszącej ponad stan ludzi nieprzygotowanych - za cenę autodestrukcji indywidualnej osobowości.

Wcześniejsi recenzenci doszukiwali się w wizerunku głównego bohatera sztuki Witkacego znanych politycznych osobowości: „Dramat Witkacego wiąże się w sposób szczególny z biografią artystyczną Macieja Prusa. „Jan Maciej Karol Wścieklica”

był jego reżyserskim debiutem i zarazem wielkim sukcesem. Pokazany na Warszawskich Spotkaniach Teatralnych w 1969 roku stał się sensacją, świadectwem nie tylko talentu reżysera, ale i prezentacją nowych metod inscenizacji. Żywe kury fruwające po scenie i prawdziwe siano, w którym brodził rozdarty wewnętrznie bohater, robiły wrażenie. Po z górą 20 latach Prus odczytał sztukę Witkiewicza zupełnie inaczej. Akcję umiejscowił w plenerze, wśród zieleni drzew, na podwórku przed sypanką się wiejską



snej perspektywy



Fot. J. Maziejuk

chałupą. Zrezygnował z wszelkiej teatralnej umowności. Wyostrzył społeczno - polityczne podteksty dramatu. Wścieklica u progu lat dziewięćdziesiątych nosi wąsy jak marszałek Piłsudski albo jeszcze ktoś inny". (http://www.teatrtelevizji.tvp.pl/spektakle/artykul/jan-maciej-karol-wscieklica_598230/)

Wśród osobowości politycznych o chłopskim rodowodzie był też Wincenty Witos. Postać polityka w absurdalnie uproszczony sposób przedstawił Jerzy Hoffman w filmie „Rok 1920. Bitwa warszawska”, ale to oddzielna sprawa, poza konwencją teatralną, społecznie ważna, lecz ciągle bagatelizowana. Może w filmie Andrzeja Wajdy „Wałęsa” problem przekraczania granic społecznych, kulturowych,

mentalnych zostanie należycie wyeksponowany i dostrzeżony? Demokracja nie musi być kresem wielkich indywidualności, nawet jeśli nas coś w nich uwiera.

Reżyser słupskiego przedstawienia Jacek Bunsch swoją inscenizacją „Wścieklicy” stawia widzom pytanie o potrzebę silnych osobowości we współczesnym świecie. Dotychczasowa konwencja krytyczna zakładała odczytywanie twórczości Witkacego w granicach absurdu bądź groteski: „Wścieklica” o polityce i narodzie mówi zupełnie innym językiem niż ten, do którego przywykliśmy. Zamiast agresywnych komentarzy czy PR-owych frazesów operuje jedną w swoim rodzaju mieszkanką artystycznego żartu i absurdu witkacowskiej konwencji „grotesque macabre”. (<http://krakoff.pl/category/events/past/page/2/>)

W takim stanowisku obawiam się jednak interpretacyjnych uproszczeń.

Słupski spektakl, którego premiera odbyła się 22 września 2012 roku, opuścił teatralną salę. Przedstawienie z 19 września br. zrealizowane w ramach III Festiwalu Twórczości St. I. Witkiewicza odbyło się w gościńcu Młyn Słupski. Czterdzieści trzy lata od słynnej realizacji Macieja Prusaa z dramatem Witkiewicza z powodzeniem zmierzył się Jacek Bunsch. W naturalnym wnętrzu starego młyna scenograf (Tadeusz Smolicki) umieścił sprasowane kostki słomy, dawne sprzęty rolnicze z kosą

i rzekiem jako rekwizytami przydatnymi do budowania roli Wścieklicy. Kolejne sceny dramatu rozgrywają się wokół prostego wiejskiego stołu. Jego „ogranie” i metaforyczne znaczenie nie wymagają objaśnień. Widzowie siedzący wokół owej naturalnej sceny stają się uczestnikami i świadkami dylematów głównego bohatera.

Nie brak w spektaklu współczesnych i regionalnych elementów, wykorzystanych jako zabawne kontrpunkty, jak na przykład: telefon komórkowy, którego dzwonek konsternuje widzów, a połączenie odbiera bohater. Nie zabrakło laptopa, bez którego trudno wyobrazić sobie współczesnego polityka. Wścieklica przywołuje przy jego pomocy rozłożystą lipę, pszeniczny łan, który kładzie się pod kosę i chłopską pomorską zagrodę ze Swołowa (Muzeum Kultury Ludowej Pomorza, centrum Krainy w Kratę). Jego życie stało się własnością prasy, której tytuły brzmią dziwnie swojsko: Newskweek, KokowOko, Wkrzak, Nie Uważam Że, Poliklika.

Intensywne, ekspresyjne zagrane przedstawienie przywołuje wiele problemów współczesności. „Dlaczego przenosić sądy słuszne w życiu na sferę sztuki, z którą w istocie życie tak mało ma wspólnego?” - pytał Stanisław Ignacy Witkiewicz. Jednak czy do rozumienia jego twórczości konieczne trzeba zakładać dawne okulary, czy może warto spojrzeć na jego utwory ze współczesnej perspektywy? W taki właśnie



Fot. J. Maziejuk

sposób „Jana Macieja Karola Wścieklicę” odczytali realizatorzy spektaklu z Nowego Teatru im. Witkacego w Słupsku.

**Czesława Długoszek
Objazda**



Fot. J. Maziejuk

Przesiedlona młodość



Fot. J. Maziejuk

Propagandowy plakat z 1945 roku z wizerunkiem jako żywo z Jasia Wędrowniczka z tobołkiem na patyku dziś śmieszy i wzrusza: zarówno grafiką, jak i ideą. Wydaje się, że ówczesni jego twórcy zrecenzowali nim zarówno powojenną zmianę granic, jak i sytuację materialną wielu rodzin na ziemiach polskich II Rzeczypospolitej

Powojenne migracje obejmowały nie tylko repatriantów zmuszonych do zmiany miejsca zamieszkania wyrokiem układów jałtańskich. „Ziemie odzyskane” otwierały możliwości młodym i odważnym z najbardziej niebezpiecznych rejonów, szukającym nowego lepszego życia.

Historycznym wyzwaniem było wysiedlenie Niemców i zorganizowanie osadnictwa ludności polskiej. Miejsce Niemców zajmowali w pierwszym rzędzie wojenni robotnicy przymusowi, czasem w związkach z poznanymi tu partnerami. Przybywali nowi mieszkańcy z terenów całej II Rzeczypospolitej. Początkowo osadnicy obejmowali poniemieckie gospodarstwa chłopskie. Natomiast wielkimi majątkami administrowały wojskowe władze radzieckie i przedstawiciele administracji państwa: zarząd Państwowych Nieruchomości Ziemijskich; organizowały się pierwsze spółdzielnie i państwowe gospodarstwa rolne.

Władze radzieckie wywiozły z Ziemi Odzyskanych znaczną część majątku: maszyn i urządzeń przemysłowych. Zniszczone tory, stacyjki i mosty kolejowe, parowozy i wagony witały smutnym widokiem szukających obiecanego plakatem „dobrobytu”. Dlatego zagospodarowanie Ziemi Odzyskanych stało się sprawą ogólnonarodową na mocy Dekretu z dnia 13 listopada 1946 roku o daninie narodowej na zagospodarowanie Ziemi Odzyskanych (Dziennik Ustaw Nr 61 poz.340 i 341).

Odkrywamy, szarzy zjadacze chleba, najnowszą historię zapisaną w dokumentach, opracowaniach naukowych i pamięci ludzi, świadków i bohaterów tamtych zdarzeń. Historia mówiona, tzw. Oral History nie ma w Polsce długiej tradycji. Twórca metody, Kazimierz Dobrowolski (1894 - 1987), socjolog i etnolog, jako pierwszy dostrzegł przydatność szerokiego podejścia do badań społecznych. Włączanie do badań historycznych żywych opowieści okazało się szczególnie przydatne po II wojnie światowej. Pamiętniki, wspomnienia, wywiady, kroniki same w sobie stanowią historyczny dokument, są też ciekawą lekturą, pozwalającą na odkrycie wspólnotowych doświadczeń historycznych i społecznych. Dla historyka są materiałem porównawczym, podstawą uogólnień.

Krystyna Kersten na Powszechnym Zjeździe Historyków w Lublinie w 1968 roku

w referacie na temat wykorzystywania relacji ustnych jako źródeł historycznych, uznała potrzebę nadania cech naukowych działaniom, które miały miejsce od wielu lat, ale nie były traktowane wiarygodnie z powodu opinii lansowanych przez władzę ludową. Historia oficjalna różniła się znacznie od historii mówionej, tzw. drugiego obiegu, która najczęściej była przekazywana ustnie i zwana była historią „szeptaną”.

Metodę historii mówionej jako wiarygodnej opowieści o własnej gminie zastosowali twórcy wydawnictwa „Przesiedlona młodość. Wspomnienia mieszkańców gminy Główczyce”. Piękna edytorsko książka formatu B4, licząca 158 stron, z sztytem



trzonem w twardej oprawie, może stanowić cenną pozycję bibliofilską. Nie znalazłam informacji o wysokości nakładu, ale wiem, że publikacja nie jest powszechnie dostępna.

Wydawca - Gminny Ośrodek Kultury w Główcach realizację publikacji w formie projektu „Seniorzy w akcji” finansowanego ze środków Towarzystwa Inicjatyw Twórczych „e” powierzył jako redaktorowi naczelnemu Pawłowi Żmudzie. Współrealizatorką projektu jest Teresa Janusewicz, która wraz z Pawłem Żmudą oraz Tomaszem Niklasem zbierała wspomnienia. Dziewiętnaście relacji mieszkańców gminy Główczyce tworzy barwną i wielowątkową historię ludzi, miejsc, zdarzeń i czasu przedwojnia, II wojny światowej, a przede wszystkim powojennych dramatów, rozczarowań i nadziei. Narratorzy i jednocześnie bohaterowie w naturalny sposób, prostym językiem, bez patosu opowiadają o zabliznionych ranach psychiki i ciągle żywej pamięci zdarzeń. Tylko i aż dziewiętnaście indywidualnych, jednostkowych historii opisuje losy niemal tysiąca mieszkańców z dwudziestu sześciu sołectw gminy Główczyce. Obraz opisany słowem uzupełniają

fotografie (137 zdjęć) formatowane w tekście oraz dołączony zestaw 45 fotografii z prywatnych archiwów mieszkańców gminy, zbiorów Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku i Archiwum Państwowego w Koszalinie oddział w Słupsku. Publikację otwierają konturowe mapy II RP i obecnej gminy Głównicy z zaznaczonymi orientacyjnie miejscami przesiedleń. Praca została opatrzona „Wstępem” Tomasza Niklasa i krótką historią gminy: „Głownitz znaczy Głównicy” opracowaną przez Pawła Żmudę na podstawie „Der Landkreis Stolp in Pommern” Karla-Heinza Pagla.

Autorzy publikacji przyjęli słuszną zasadę „prawdy języka”. Słowo jest narzędziem otwierającym zapisane w pamięci bohaterów światy. Indywidualne cechy komunikacji pozwalają poznać i opisywać to, co w relacjach bohaterów wspomnień niepowtarzalne, co jest nośnikiem dawnych emocji, przeżyć, międzyludzkich relacji.

Dlatego opowieść Ireny (Irmegard) Kłos, rocznik 1929, która wyszła za Polaka, robotnika przymusowego i zrezygnowała z wyjazdu z rodziną do Niemiec wrzuciła prawdą czasu, szczerością osobistych dylematów. Jej historia o relacjach rodzinnych pokazuje obszar nieznan: zniszczenia podstawowych więzi rodzinnych, w równym stopniu dotyczący innych bohaterów: „Druga siostra nadal żyje, mieszka niedaleko Hamburga, tylko dwa razy u mnie była. Brat żyje, ale nie był po wojnie w Głównicach. Tam się ożenił i pilnuje swojej rodziny. Już nie utrzymujemy ze sobą kontaktu.”

Podobną wartość ma historia Władysławy Kos, urodzonej w Dajnówce w gminie Soleczniki, województwie wileńskim, zamieszkałej w Głównicach w 1958 roku, po tak zwanym „porozumieniu repatriacyjnym”, które miało miejsce 25 marca 1957 roku. Przewidywało ono przesiedlenie wszystkich, którzy przed 17 września 1939 byli polskimi obywatelami. Posiada-

polskiej tożsamości opowiedziana przez bohaterkę językiem z kresowym rytmem jest niezwykła. Oddaje stan napięcia i determinacji w pokonywaniu przeciwności przed wyjazdem do Polski. Puentę tej opowieści cechuje rozładowująca napięcie autoironia: „Przyjechaliśmy tu do Polski, a słyszymy, że to Rusek rządzi! To od ruskiego uciekli, a tu Rusek rządzi! Ale szczęśliwa jestem, że mieszkam w Polsce.”

Nie wiem co to „salatela”, domyślałam się, że chodziło o saradellę, ale wiem, że kresowiaków często wyróżniała oryginalna artykulacja i tradycja, szczególnie stosunek do ziemi i pracy na roli, bliski sacrum: „U nas do żniw to był fartuszek w paseczki, halka biała z koronką szydełkową, kokardkę pofarbowano na niebiesko, kartofli się natarło, krochmal się zrobiło, ukrochmalone i poszliśmy ścinać żyto, że jak się nachylisz, to żeby chłopaki wiedzieli, że czysta bielizna. A tu? Spodnie noszą, chłopaki przeklinają, u nas w spodniach nigdy nie chodzili!”

W sumie w latach 1955 - 1959 przesiedlono łącznie 245 501 osób. Załedwie 22 260 pochodziło z łagrów i miejsc osiedlenia w głębi ZSRR. Reszta pochodziła z Kresów Wschodnich. Doświadczenia z Wołynia Franciszki Skarżyńskiej, z Ukrainy teścia Marianny Babiarz, spod Wilna Marii i Michała Starkowskich, Józefy i Stanisława Szmajdów spod Lwowa, tych przybyłych spod Konina i spod Kielc, i tych z Zamajszczyzny i Leona i Danuty Kiereckich z Kurpiów - tworzą naszą wspólną historię i kulturę. Naszą, to znaczy pokolenia dzieci i wnuków osadników, którzy często nie znamy rodzinnych korzeni, legend, tradycji. W tym sensie publikacja „Przesiedlona młodość. Wspomnienia mieszkańców gminy Głównicy” jest nie do przecenienia jako dokument społeczny, kulturowy i rodzinny jednocześnie.

Przyjeżdżali jako młodzi ludzie, często jeszcze dzieci, dlatego łatwiej niż dorośli odnajdowali się w nowej rzeczywistości. Praca, nauka, wspólne zabawy, rodzące się uczucia, śluby, narodziny dzieci, sąsiedzka pomoc - wypełniały codzienność. Refleksja przychodzi z wiekiem, pomaga jej pamięć i doświadczenie. To teraz po latach ubolewają nad zniszczonymi dworami, pałacami, parkami, traktowanymi w pierwszych powojennych latach z nonszalancją, jako mienie obce emocjonalnie i kulturowo.

- „Zamek w Kłęczynie rozebrali, nikt się nim nie interesował. Ciężka zima była, no i chodzili tam niektórzy i wyrzynali. Najpierw zabierali tam drzwi czy okna.” - żali się Danuta Kierecka.

Znakiem współczesności, nowe pojmowanie dorobku materialnego

wielokulturowego Pomorza jest rekonstrukcja pałacu w Kłęczynie. Znajomy cieśla opowiada, z jakim trudem i pieczołowitością odtwarza stare drzwi i okna. Ożywają stare parki, dwory, pałace w nowych funkcjach.

Wtedy był też czas tworzenia spoiwa społeczności wiejskich: trwałego, łączącego różne tradycje. Taką wartość miały zespoły muzyczne, śpiewacze, teatralne. Cieśla z Kłęczyna, pan Jan Kardaś, którego matka była współzałożycielką zespołu Kłęczynianki, świętującego w tym roku jubileusz czterdziestolecia, z dumą opowiadał mi o roli jego matki w powstaniu zespołu.

O Kłęczyniankach i pani Kardasiowej w publikacji „Przesiedlona młodość. Wspomnienia mieszkańców gminy Głównicy” opowiada pani Józefa Szmajda: „My próby robiliśmy po domach a to u Kardaś, a to u Kiereckiej. (...) Wcześniej to ja z Romanowską same szyłyśmy stroje. Kardasiowa pojechała na Kurpie i przywiozła jeden cały oryginalny komplet.”

Minęły lata, popiół przysypał sprawy nieistotne, zmieniły się realia i warunki codziennego życia. Dawni młodzi stali się seniorami lub odeszli: „Już sześć osób z tego zespołu nie żyje” - z żalem o Kłęczyniankach mówi pani Józefa Szmajda. Pozostała nostalgia za wspólnotowym działaniem, żywym uczestnictwem w kulturze. „Teatr mieliśmy i w Słupsku wystawialiśmy, sami ludzie z Kłęczyna” - wspomina Danuta Kierecka.

„Teraz to ludzie zamykają się sami w sobie. Ta telewizja, kiedyś tego nie było, ludzie towarzysko żyli” - mówią Danuta i Leon Kiereccy.

Równoległa opowieść o topografii, architekturze, ludziach i ich działaniach zawarta jest w prezentowanych w książce czarnobiałych fotografiach. Bogactwo realiów zamknięte w kadrze daje wyobrażenie codzienności i chwil szczególnych minionego czasu. Zdjęcia ślubne, szkolne, okazjonalne, zdjęcia ludzi przy pracy - każde jest samodzielnie opowiedzianą historią o zdarzeniu, pamięcią minionego wieku zatrzymaną w kadrze.

Obie relacje - werbalna i fotograficzna dopełniają się wzajemnie, tworząc obraz minionego czasu, obraz pokolenia, które wrastało codziennością w pomorską ziemię.

Publikacja „Przesiedlona młodość. Wspomnienia mieszkańców gminy Głównicy” sponsorowana przez Polsko - Amerykańską Fundację Wolności jest zapisem żywej historii obecnej w pamięci pokolenia, które ją tworzyło. Z pewnością jest dokumentem, do którego będą sięgać historycy. Rzeczywistym i najważniejszym adresatem opowiedzianych losów jesteśmy wszyscy - mieszkańcy Pomorza. Jest to opowieść o nas i dla nas - buduje wspólną świadomość doświadczeń, wysiłków, perspektyw.

Czesława Długoszek, Objazda



nie polskiego obywatelstwa trzeba było udowodnić. Opowieść bohaterki realizuje się poza świadomością o międzynarodowym kontekście osobistych decyzji. Niezwykła historia poszukiwania dowodów

Jest to niewątpliwie wielka atrakcja nie tylko dla kolekcjonerów, historyków sztuki, ale także dla wielu intelektualistów z Europy Środkowej odwiedzających z tej przyczyny dolnośląską stolicę. Wrocławska wystawa malarstwa prezentowuje się znakomicie w Pałacu Królewskim, a przedstawione dzieła artystów flamandzkich od dawna zapewniły sobie stałe miejsce w dziedzictwie kulturalnym Europy. Przedstawiane obrazy podejmują tematy wyjątkowe ze względu na treść i formę, specyficzny styl i precyzję przekazu, która fascynuje do dziś współczesnych malarzy, a dla wielu twórców była inspiracją do naśladownictwa.

Krótko charakteryzując podjęte tematy malarskie można stwierdzić, że nawiązywały do życia codziennego mieszkańców, są związane z wykonywaną pracą, zabawą, jak również sięgają do sfery duchowej. Stanowią niepowtarzalny dokument dla potomnych o ówczesnych dziejach i obyczajach. Przedstawiane na obrazach mikroszenki z życia zwykłych ludzi są istotnym źródłem wiedzy o tamtej epoce. Podziwiając kolekcję obrazów można dopatrzeć się nie tylko ironii, humoru, ale także wielkiego kunsztu w oddawaniu szczegółów. Przedstawiciele rodu Brueghlów swoimi dziełami starali się kształtować moralność odbiorcy. Zwiedzając wystawę mamy niepowtarzalną okazję, by przyjrzeć się twórczości całego rodu, od założyciela Pietera Brueghla Starszego (1525 - 1569) poprzez synów: Pietera Brueghla Młodszeo i Jana Brueghla, aż do ostatnich pokoleń przedstawicieli tej wielkiej rodziny, która przez prawie dwieście lat dzierżyła prym w malarstwie i trwale zapisała się w historii sztuki.

Ponad sto dzieł przedstawicieli wymienionej rodziny można dziś oglądać na wspomnianej ekspozycji, która wcześniej była prezentowana w Tel Awiwie, Rzymie, a z Wrocławia pojedzie do Paryża. Na wystawie oprócz twórczości czterech

Arcydzieła fla

Wrocław staje się centrum kulturalnym kraju. Właśnie tam, po raz pierwszy w Polsce, zostały pokazane dzieła rodziny Brueghlów, Hieronima Boscha i innych malarzy flamandzkich z prywatnych kolekcji zebranych z całego świata



generacji Brueghlów możemy podziwiać dzieła innych twórców powiązanych z dziejami artystycznej rodziny.

Duże zainteresowanie wzbudza obraz Hieronima Boscha „Siedem grzechów głównych”. Płótno niderlandzkiego mistrza jest podziwiane również dlatego, że polskie muzea nie posiadają żadnego obrazu tego artysty. Polscy pasjonaci jego malarstwa

musieli udawać się do muzeów Dreżna, Berlina i Wiednia. Twórczość Boscha ma powiązania z twórczością Brueghlów, ponieważ inspirowała protoplastę rodziny - Pietera Brueghla Starszego. Bosch był perfekcjonistą w budowaniu napięcia między tym co ludzkie, a tym co boskie. Jedyny na wystawie jego obraz „Siedem grzechów głównych” przedstawia bryłę kuli ziemskiej, w której artysta zamknął grzeszników. U jego dołu znajduje się piekielna otchłań wypełniona obrzydliwymi stworami, nad kulą zaś góruje gólgota. Inny obraz pt. „Zmartwychwstanie” Pietera Brueghla Starszego to jedna z najbardziej interesujących biblijnych prac tego artysty łączących mistykę z realizmem. Widoczna na nim postać Chrystusa nawiązuje do stylu gotyckiego, a prześladowcy przypominają ludzi z epoki malarza.



Fot. Archiwum Autora

Flamandzkiego malarstwa

Pieter Brueghel Starszy, najwybitniejszy z rodziny świetnych niderlandzkich malarzy, zaszczerpił na północnoeuropejskim gruncie wzory Renesansu. Z niezwykłą starannością o szczegóły przedstawiał ludowe zwyczaje, wiejski folklor i zabawy. To on ugruntował modę na ludowy temat w sztuce i w konsekwencji otrzymał przydomek „Chłopski”. Od jego czasów chłopski taniec, karczemna bójka, prace polowe, „wielkie żarcie” i popijawy, jak również rubaszne załoty zaistniały w wielkim malarstwie Niderlandów. Z tego powodu jest również nazywany „Rubasznym”, a jego twórczość przypomina realizm pomieszany z groteską.

Pieter Brueghel przedwcześnie umarł, nie przekroczywszy nawet pięćdziesiątki. Osierocił dwóch synów - pięcioletniego Pietera Młodszego nazwanego później Brueghlem Piekielnym oraz jednorocznego Jana, znanego w historii sztuki jako Brueghel Aksamitny. Obaj zostali malarzami. Otrzymali staranne wykształcenie, choć żaden z nich nie uczył się od swego ojca.

Na prezentowanej wystawie największą jest obrazów Pietera Brueghla Młodszego. Zobaczymy m.in. „Pochlebców”, „Siedem czynów miłosierdzia”, „Taniec weselny na świeżym powietrzu”. Pierwszy obraz jest przejmujący w swojej istocie, przedstawia służalców wchodzących do wypiętej, tylnej części ciała bogacza. Wers umieszczony na ramie obrazu w języku niderlandzkim głosi: „Ponieważ dużo pieniędzy przechodzi przez mą sakiewkę, zawsze otaczają mnie pochlebcy”. Obraz przedstawia porzekadło odzwierciedlające dość cyniczny ludową mądrość życiową, do której odwoływano się bardzo często w codziennych rozmowach, a która nadal jest aktualna. Ta flamandzka mądrość ma również odpowiednik wśród przysłów polskich: „Pochlebstwo to przestrzeń między nikiem a fortuną”.

Obraz „Taniec weselny na świeżym powietrzu” wzbudzał duże zainteresowanie. Stanowi główny, plakatowy motyw wystawy wrocławskiej. Przedstawiony temat

to znakomite studium epoki. Jest niezwykle barwny, zachwyca kontrastem postaci i ubiorów, niesłychanie żywiołowy, pełen tańczących piosenek i rubasznymi ruchami.

Pieter Brueghel Młodszy (ur. w 1564 w Brukseli, zm. w 1637 r.) to malarz flamandzkiego Baroku. Wiele dzieł jakie pozostawił to kopie obrazów jego ojca. Początkowo tworzył obrazy o tej samej tematyce. Starszy Brueghel malował pod wpływem Hieronymusa Boscha groteskowe i pełne fantazji sceny z piekła, które musiały głęboko zapasać w wyobraźnię syna. Na wielu obrazach syn naśladuje ojca, przedstawia motywy ognia i piekła, przez co nazywano go Pieterem Brueghlem Piekielnym. Jednak stopniowo wykształcił własny styl w malarstwie, w którym było mniej wizjonerstwa niż u ojca, a więcej opowieści o ludziach i współczesnych mu czasach.

Jan Brueghel Aksamitny (1568 - 1625) okazał się silną indywidualnością. Zasłynął jako świetny pejzażysta, a także malarz martwych natur, zwłaszcza kwiatów. Zaprezentowany na wystawie obraz „Maiden z Dzieciakiem w girlandzie z kwiatów” zawiera scenę religijną ujętą w kwiatowe ramy. Został namalowany wspólnie, jak jeszcze wiele innych obrazów, z Pieterem Paułem Rubensem, z którym się przyjaźnił i współpracował. Jan Brueghel malował obrazy o delikatnej fakturze i łagodnej kolorystyce. Krytycy uważają, że są one zbyt słodkie, jubilersko dokładne i miękko malowane. Twórczość jego kojarzyć można z aksamitem, zwłaszcza z kwiatami, od których otrzymał przydomek Kwietnego Brueghla.

Istotną częścią wystawy są również dzieła pozostałych flamandzkich malarzy tego okresu: Martena van Valkenborcha, Hendricksa van Clewe, Josefa van Bredela. Szczególną uwagę wzbudzają prezentowane obrazy Jana van Kessela Starszego, zwłaszcza nie pozostaje niezauważony ten pt. „Studium motyli i innych owadów” z 1657 roku. Artysta ten jest nie tylko świetnym malarzem, był również zafascynowany naukowymi odkryciami i studiami poświęconymi ówczesnie badanej

faunie i florze. Z wyjątkową dokładnością odtwarzał obrazy z natury. Lepiej niż nikt inny uczonego przedstawia kompozycje siedemdziesięciu gatunków przeróżnych owadów i żyzną z wszystkich znanych w



Fot. Archiwum Autora

XVII wieku. Jego obrazy prezentowane na wystawie zostały namalowane na grubym miedzianym podłożu, na płycie marmurowej. Sprawiają wrażenie fotografii żywych okazów. Widoczne są na nich: motyle, ćmy, żuki, mrówki, pająki, jaszczurki, konik polny, ślimak, modliszka i wiele innych owadów. Sprawiają wrażenie, że zaraz ożyją i rozpięzną się po sali muzealnej. Twórca w ten sposób zaskakuje widza i przekazuje jednocześnie przesłanie potrzeby poznania otaczającego nas świata.

W polskich muzeach znajduje się tylko kilka obrazów rodziny Brueghlów. Są to m.in. „Kazanie św. Jana Chrzciciela” w Krakowie, czy „Pejzaż zimowy z tygrysami i pułapką na ptaki” we Wrocławiu. Zaistniała zatem możliwość, by po raz pierwszy zobaczyć tak wielką kolekcję arcydzieł malarstwa flamandzkiego. Długie kolejki ustawiają się do ekspozycji wrocławskiej, do niepowtarzalnej sztuki Brueghla. Jeszcze raz potwierdza się, jak wielkim zainteresowaniem cieszy się flamandzkie malarstwo, które żywiołowo zaistniało w Europie. Jest solidnie umocowane w korzeniach tkwiących mocno w chłopskiej rzeczywistości. Jego początki mają także odniesienie do wzorów włoskiego Odrodzenia i są pod wpływem myśli wybitnego humanisty Erazma z Rotterdamu. Wystawa ta stanowi szczytowe osiągnięcie w organizowaniu światowych pokazów dzieł znajdujących się w prywatnych kolekcjach. Zaprezentowane na niej obrazy osiągają obecnie najwyższe ceny na aukcjach sztuki.

Włodzisław Lipczyński, Słupsk
w.lipczynski@interia.eu

Cała Polska go kochała

3 listopada w Chorzowie w wieku 86 lat zmarł jeden z najwybitniejszych polskich piłkarzy - Gerard Cieślik

Wrocławiu, Krakowie, a nawet w Berlinie. W przerwie meczu w Chorzowie, Gerard Cieślik komplementował ich grę i osobiście podawał herbatę. Chwalił się też wokół: „Cieśliki do mnie przyjechali!” - „Jakie Cieśliki?” - pytano. - „No, ze Słupska, to są moje Cieśliki” - oznajmiał dumnie. Chłopcy bardzo dużo spotkań wygrywali. Odnosili też sukcesy indywidualne. Koszulki pierwszoligowców założyli: Czesław Boguszewicz, Mirosław Justek, Tadeusz Czubak (Pogoń Szczecin), Ryszard Szpakowski (Lech Poznań). Cała czwórka występowała też w reprezentacji Polski. Kilkunastu innych wychowanków MKS Cieśliki z powodzeniem grało w zespołach I i II ligi, m.in. Ryszard Wiśniewski, Waldemar Pawlak, Waldemar Puzon, Zdzisław Jedynak, Ryszard Bućko, Bogusław Jaskuła, Czesław Minda, Zygmunt Gilewski, Konstanty Podkoczyj...

W piątek, 8 listopada 2013 Chorzów i cała sportowa Polska pożegnały Gerarda Cieślika. W ceremonii pogrzebowej obok żony Krystyny i rodziny, legendarnego piłkarza żegnali m.in. były premier Jerzy Buzek, prezes PZPN Zbigniew Boniek, księża i biskupi oraz około dziesięć tysięcy mieszkańców Chorzowa i liczne delegacje klubów z całego kraju. Swojego Patrona w Chorzowie pożegnała też delegacja słupskich Cieślików w składzie: Czesław Boguszewicz (Gdynia), Marek Batura (Gorzów), Czesław Minda i Sławomir Kozłowski (Słupsk), Zygmunt Gilewski (Koszalin). Nasza delegacja na cmentarzu w Chorzowie złożyła przywieziony ze Słupska biało-czerwony wieniec z flagą: „MKS CIEŚLIKI”. W Chorzowie z kamerą była również red. Bożena Bugańska, dzięki której na antenie TV Słupsk ukazał się reportaż z tej żałobnej uroczystości.

Zgodnie z życzeniem Gerard Cieślik w ostatnią podróż został ubrany w biało-czerwony dres, który otrzymał jako Wybitny Reprezentant Polski. Z Ruchem zdobył trzy tytuły mistrza kraju, Puchar Polski, dwukrotnie został królem strzelców I ligi, razem strzelił 167 bramek. W reprezentacji Polski wystąpił w czterdziestu sześciu



Fot. J. Maziejuk

Jeszcze w czerwcu br. Gerard Cieślik przebywał w Ustce. Z małżonką Krystyną przez tydzień byli gośćmi honorowymi VIII Zjazdu Absolwentów Międzyszkolnego Klubu Sportowego CIEŚLIKI Słupsk. Widać było, że ma problemy ze zdrowiem, ale był czynny i aktywny. W piłkę już nie grał, chodził o lasce, rozmawiał z podopiecznymi, robił z nimi pamiątkowe zdjęcia. Ubolewał nad słabą grą Ruchu Chorzów. Przed opuszczeniem Ustki serdecznie pożegnał się z każdym i wszystkich zaprosił do Chorzowa na mecz Ruchu z Legią lub Górnikiem. Obiecał, że za rok powróci do Ustki na IX Zjazd... Dla wszystkich było to oczywiste, bo Gerard Cieślik wielokrotnie powtarzał, że w jego sercu zadomowiły się tylko dwa miasta: Chorzów i Słupsk.

Stało się tak za sprawą szkoły piłkarskiej. Jej założycielem i trenerem był Marian Boratyński. W szkoleniu pomagali m.in. Jerzy Krzysztofowicz, Marek Maliszewski, Jerzy Rumaczyk oraz kilku współpracujących nauczycieli wf-u. Gerard Cieślik był wtedy idolem całej Polski. W poszukiwaniu patrona dla młodych adeptów piłki nożnej postanowiono zwrócić się właśnie do Gerarda Cieślika. Marian Boratyński pojechał do Chorzowa i, o dziwo, sławny piłkarz wyraził zgodę na patronat. Młodzi piłkarze Słupska

grali więc pod nazwą: Szkołka Piłkarska im. Gerarda Cieślika. Dla kibiców nazwa ta była jednak za długa. Podczas jednego ze spotkań z trybun rozległy się okrzyki: „Cieśliki, Cieśliki!” Za ich sprawą zmieniono nazwę na MKS CIEŚLIKI. Do dnia dzisiejszego szkołka piłkarska w Słupsku jest jedynym klubem sportowym w Polsce, który nosi imię Gerarda Cieślika. Słupszczanie grali m.in. w Gdańsku, Szczecinie, Bydgoszczy, Olsztynie, Warszawie, Łodzi, Poznaniu,



Fot. J. Maziejuk



spotkaniach zdobywając dwadzieścia siedem bramek. Dwie najważniejsze bramki strzelił w wygranym przez Polskę meczu ze Związkiem Radzieckim (2:1). Pokonał wtedy uważanego za najlepszego bramkarza świata Lwa Jaszyna. Wydarzenie miało miejsce 20 października 1957 roku na Stadionie Śląskim w Chorzowie w ramach eliminacji do mistrzostw świata. Cieślik w tym historycznym meczu był kapitanem reprezentacji. Na ramionach kibiców został zniesiony do szatni i cała Polska go pokochała.

Gerard Cieślik był człowiekiem nad wyraz pracowitym i zdyscyplinowanym. Pracował w wyuczonym zawodzie tokarza, później awansował na majstra. Żył więcej niż skromnie. Król strzelców z mamą i siostrą przez kilka lat mieszkał w jednym pokoju z kuchnią. Dopiero po latach otrzymał mieszkanie w bloku na VI piętrze przy ulicy Kaliny. Był dwukrotnie żonaty. Z pierwszą żoną Wandą Kochanek miał dwoje dzieci: syna Jana i córkę Barbarę. Kilka lat po śmierci pierwszej żony zawarł związek małżeński z Krystyną Janiczek - wielokrotną mistrzynią i reprezentantką Polski w piłce ręcznej. Kobieta ta, dużo młodsza, od lat szkolnych była wielką fanką Mistrza i Jego najczulszą opiekunką.

Dziś trudno to sobie wyobrazić, ale w czasach Gerarda Cieślika nawet najlepsi piłkarze normalnie pracowali. Nie było żadnych przywilejów, bo czasy były trudne. Dożywianie w kadrze ograniczało się do produktów spożywczych: kaszy, mąki, czasami kielbasy lub tabliczki czekolady. Nagrody? Gerard Cieślik: „W 1951 roku za Puchar Polski dostałem buty narciarskie, a rok później

za mistrzowski tytuł otrzymałem sweter. I te nagrody nas cieszyły. Za zwycięstwo nad Związkiem Radzieckim mieliśmy obiecane po pięćset złotych (zarabiał się wtedy 1.200-1.400 zł), ale po meczu i do dnia dzisiejszego nie otrzymaliśmy ani grosza. I nikt się nie upominał. Wystarczył sam fakt, że wygraliśmy. Cała Polska była szczęśliwa. I my też.”

Piętnastego listopada 1959 roku Gerard Cieślik zakończył karierę sportową meczem ligowym z Wisłą Kraków (2:1). „Od Ruchu dostałem aparat fotograficzny, a od Wisły piękny złoty sygnet. Rywali i kolegów z drużyny zaprosiłem do domu na

pożegnalną kolację, bo klub nie uznał za stosowne żeby coś zorganizować”.

Gerard Cieślik urodził się 29 kwietnia 1927 roku w Hajdukach Wielkich (obecnie Chorzów). Dwunastego maja 1945 roku rozegrał pierwszy mecz w barwach Ruchu, który pokonał Zgodę Bielszowice 6:0, a on jako 18-latek zdobył jedną z bramek. Jako 20-latek w meczu z Widzewem w Łodzi, wygranym przez Ruch 11:1 strzelił sześć goli. Było to 7 września 1947 roku, a grano o wejście do reaktywowanej I ligi. W roku 1969 został wybrany Piłkarzem 50-lecia Polskiego Związku Piłki Nożnej. Piastował także tytuł Honorowego Prezydenta Ruchu Chorzów. W roku 1999 został odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. W 2006 roku ukazała się książka Rafała Zaremby „Gerard Cieślik urodzony na boisku”. Autor opisuje w niej całe życie i karierę sportową Gerarda Cieślika, poświęca też jeden rozdział ze zdjęciami MKS Cieśliki.

Jan Romański
Słupsk

Polska oszalała

Gerarda Cieślika wspomina słupski fotoreporter Jan Maziejuk: - W latach siedemdziesiątych pracowałem w redakcji Konfrontacji, gdzie poznałem Mariana Boratyńskiego odpowiedzialnego za dział sportowy. Wiedziałem, że jest założycielem i trenerem znakomitej słupskiej drużyny piłki nożnej, znanej jako Cieśliki. Powołana w 1960 roku szkołka piłkarska otrzymała imię legendarnego wówczas piłkarza, dzięki determinacji Mariana Boratyńskiego, który osobiście prosił Gerarda Cieślika o patronat. Drużyna była chlubą Słupska w latach sześćdziesiątych ze względu na poziom gry, ale także na nazwisko patrona, Gerarda Cieślika. Legenda napastnika chorzowskiego Ruchu rozpoczęła się zdobyciem dwóch bramek w meczu z drużyną ZSRR 20. października 1957 roku na Stadionie Śląskim w Chorzowie. Najsłynniejszy i najlepszy wówczas bramkarz świata - Lew Jaszyn

uległ napastnikowi Niebieskich! Oszalała cała Polska. Pamiętam, jak słuchaliśmy transmisji tego meczu w świetlicy w Kamnicy. Dwa gole Cieślika dały Polakom nadzieję na wiele lat. Podczas dorocznego zjazdu Cieślików w 2007 roku otrzymałem monografię Gerard Cieślik. Urodzony na boisku z moimi zdjęciami. Byłem dumny, że moje fotogramy z 2005 roku znalazły się w publikacji Rafała Zaremby wydanej w 2006 roku. Na zjeździe z tego roku z udziałem Honorowego Gościa obecni byli Maciej Kobylński - prezydent Słupska i Marian Boratyński. Niestety, każdego roku ławka Cieślików jest krótsza, bo niebieski selekcjoner powołuje ich do swojej drużyny. Pozostali strzelają do pustej bramki, a później stawiają znicze. W tym roku w listopadzie znicze zapłonęły dla Gerarda Cieślika.

Zanotowała:
Czesława Długoszek, Objazda

za puchar polski dostał buty narciarskie, a rok później za mistrzowski tytuł otrzymał sweter



Fot. Archiwum Autora

międzynarodowe warsztaty teatralne do Santarem, na które zaprosił go poznany rok wcześniej w Finlandii Carlos z tego właśnie miasta. I tam Franczak poznał teatralnika Artura Oliveira z Cartaxo. W 1979 roku teatr Combate z Cartaxo został zaproszony na Słupski Tydzień Teatralny, a teatr Rondo pojechał do Portugalii z widowiskiem plenerowym „Kalendarz polski”. I tak się zaczęła współpraca.

Z biegiem lat wymiana kulturalna zaczęła obejmować także inne dziedziny sztuki.

Wielokrotnie wyjeżdżali do Portugalii słupscy malarze, rzeźbiarze, muzycy, fotograficy. Z kolei Słupsk gościł nieco egzotycznych początkowo artystów z Portugalii. Najpierw w grupach zorganizowanych, ale z biegiem lat pojawiła się też wymiana indywidualna, bo zawiązały się przyjaźnie.

Za długoletnią współpracę kulturalną i promowanie Słupska za granicą w 2009 roku Artur Oliveira otrzymał medal „Za usługi dla miasta Słupska” i nagrodę I stopnia

Portugalska ambasada

22 czerwca w odległej Portugalii odszedł Artur Oliveira, bliski wielu mieszkańcom ziemi słupskiej animator kultury



pożegnanie

Urodził się 14 września 1938 roku w Santarem w środkowej Portugalii. Imał się różnych zajęć: był skautem, piłkarzem, kierowcą rajdowym, działaczem ochrony środowiska. Pracę zawodową rozpoczął w Ratuszu Miejskim w pobliskim Cartaxo, wkrótce związał się z bankowością i był tam dyrektorem banku aż do emerytury. Ale Jego pozazawodową pasją stał się teatr – ze swoimi zespołami był w kilkunastu krajach świata.

W 1978 roku Antoni Franczak – słupski animator kultury pojechał na

Tomasz Jaśkiewicz w Klubie

Sympatyczny, skromny, przystępny, bez manier, jednym słowem fantastyczny Tomasz Jaśkiewicz najdłużej grający z Czesławem Niemenem, gitarzysta zespołu „Akwarele” i „Niemen Enigmatic” przyjechał do Słupska



Fot. Archiwum Autora

serca dodatkową porcją jesiennej złota. Dzień ten stał się bowiem swoistym świętem dla uczestników imprezy, która odbyła się w pawilonie Miejskiej Biblioteki Publicznej. Od września br. w bibliotece działa Klub Czarnego Krążka. Klubowicze oraz sympatycy twórczości Czesława Niemeny – wśród nich m.in. osoby z Wrocławia i Gliwic – przybyli na spotkanie, które tym razem swoją obecnością zaszczylił kompozytor, aranżer i muzyk najdłużej grający z Czesławem Niemenem, gitarzysta zespołu „Akwarele” i „Niemen Enigmatic” – Tomasz Jaśkiewicz. To jego „Chochół”, big-beatowy zespół z Warszawy, dał początek grupie „Akwarele”, której był współzałożycielem w 1966 roku. Później grał w zespole „Niemen Enigmatic”. Brał również udział w innych nagraniach Niemeny, m.in. „Io Senza Lei” (włoska wersja utworu „Dziwny jest ten świat”) i „Arcobaleno” (cover przedwojennego przeboju Somewhere over the Rainbow).

Sympatyczny, skromny, przystępny, bez manier, jednym słowem fantastyczny Tomasz Jaśkiewicz przyjechał do Słupska z

Czas nieubłaganie szybko mija! Czesława Niemeny nie ma już wśród nas niemal od dziesięciu lat. Jednak ten, za życia niezależny, kreatywny artysta, ciągle poszukujący muzyk, otwarty na świat i ludzi, wrażliwy i prawy człowiek, jeden z największych polskich indywidualności artystycznych drugiej połowy XX wieku towarzyszył nam 25 października. Słupsk tego dnia pokazał swoją miłą stronę: zaświeciło wreszcie słonko, posypując nasze

muzyka

Fot. Archiwum Autora

nazywany był u nas ambasadorem kultury portugalskiej, a w swoim kraju – ambasadorem kultury polskiej

galski sador



Prezydenta Miasta Słupska. Rok wcześniej jego miasto przyznało mu medal „Dla zasłużonego obywatela Cartaxo”.

Artur, zawsze z nieodłączną żoną Lucią, był w Polsce kilkadziesiąt razy, zwiedził nasz kraj, a Pomorze znał jak własną kieszeń. Ostatnio byli w ubiegłym roku na międzynarodowym plenerze malarsko - fotograficznym „Rybaczenie” w Ustce. Artur gościł prywatnie wiele osób u siebie w domu.

W siedemdziesiątą piątą rocznicę urodzin Artura Oliveira w Centrum Kultury w Cartaxo jego przyjaciele zorganizowali wielką wystawę fotografii, ukazującą życie i działalność tego wspaniałego człowieka. Złożyły się na nią rodzinne fotografie oraz od polskich i portugalskich przyjaciół. Znalazła się na niej też m.in. duża rzeźba bociąna wykonana przez Jacka Szmidta z Bruskowa Wielkiego. Zrobiła wielkie wrażenie na wszystkich obecnych na wystawie.

Na uroczystości te ze Słupska pojechał m.in. wiceprezydent i Jolanta Krawczykiewicz - dyrektor Słupskiego Ośrodka Kultury. Wiceprezydent A. Kaczmarczyk powiedział zebranym, jakim honorem dla niego było zwiedzanie miasta, w którym mieszkał Artur Oliveira. Podkreślił, że Artur żyje w sercach i umysłach wszystkich, którzy go znali, i najlepszą formą uczczenia jego pamięci będzie kontynuowanie, zapoczątkowanej przez niego, dalszej współpracy.

Presidente de Camara do Cartaxo Paulo Voranda podziękował słupskiej delegacji za to, że oba miasta mogą kontynuować współpracę, do której zachęcał od początku Artur Oliveira w swojej wielkiej bezinteresowności do jej zacieśnienia.

Dwaj przyjaciele Artura, którzy towarzyszyli mu od początku działalności teatralnej, Carlos Oliveira i Sergio Oliveira (zbieżność nazwisk przypadkowa) łżyli wnioski, aby Centrum Kultury i jedna z ulic Cartaxo nosiła imię Artura Oliveiry.

Oficjalna słupska delegacja została zaproszona na wspólny obiad z rodziną Artura do jego letniego domu. Była tam jeszcze Wanda Botter z Zimowisk oraz Antoni Franczak i Jerzy Karnicki ze Słupska - najbliżsi polscy przyjaciele Artura. Zadumali się nad miejscem na działkę, gdzie - zgodnie z ostatnim życzeniem Artura - zostało posadzone drzewko i rozsypano jego prochy. Wanda Botter zapaliła znicz i postawiła biało-czerwone kwiatuszki. Na drzewku zatknięto ulubioną czapeczkę Artura... Ta scena jest symboliczna dla charakteru, sposobu życia i działalności tego człowieka ogromnie związanego z kulturą, wielkiego też admiratora Polski. Nazywany był u nas ambasadorem kultury portugalskiej, a w swoim kraju - ambasadorem kultury polskiej. I nie było w tym przesady.

Leszek Kreft, Ustka

ie Czarnego Krążka

okazji ósmej edycji festiwalu Niemen Non Stop (25-26 października). Scenariusz spotkania skrupulatnie przygotowany przez prowadzących - czyli piszącego te słowa oraz prozaika, bibliotekarza Daniela Odję - już na samym początku wziął w łeb wskutek spontaniczności i niezwyklej energii Tomasza. I bardzo dobrze. Było za to więcej swobodnej wymiany zdań. Jednak scenariusz też spełnił swoją rolę, jak ściągą uczniowską: żeby ją napisać, trzeba z materiałem uczciwie się zapoznać. Uczestnicy otrzymali dawkę niezwyklej informacji, dowiedzieli się jak wyglądały początki grupy „Akwarele”, a później współpraca Tomasza Jaśkiewicza z Niemenem. Zapoznali się z mało znanymi, nawet dla fanów, faktami dotyczącymi, na przykład tak zwanego

włoskiego okresu (1969 - 1970), czy ze szczegółami i smaczkami procesu powstawania „Dziwnego Świata”, czyli najbardziej znanego utworu Czesława. Zastanawiono się także nad tym, jakie były powody i okoliczności rozpadu zespołu „Akwarele”, jak Niemen tworzył swoje utwory, czy pozwalał innym członkom zespołu na realizację własnych pomysłów, jakie miejsce zajmowała w jego twórczości poezja Norwida czy Asnyka? Przybliżający postać Niemena gość Klubu Czarnego Krążka mówił o nim z najszczerzym uwielbieniem, pietyzmem, pełnym oddaniem dla jego talentu. Dzielił się swoimi wspomnieniami. Zastanawiał się m.in. nad powodami nieudanej kariery Niemena we Włoszech czy Stanach Zjednoczonych. Chętnie i obszernie odpowiadał na za-

nieznane utwory Niemena. Kilka jego arcydzieł, jak na przykład „Dziwny jest ten świat” oraz kompozycje z płyty długogrającej, pt. „Enigmatic” zostały „puszczone” na pełny regulator ku radości słuchaczy.

Choć sprzęt nagłaśniający biblioteki jest wysokiej klasy, niestety jakość płyt analogowych wytłoczonych pod koniec lat sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych przez rodzime firmy wydawnicze, zostawia wiele do życzenia. Zauważając jednak zadowolenie na twarzach słuchaczy, czasami łzy w oczach, szybko przekonałem się, że udało nam się wspólnie za pomocą słowa i muzyki przywołać duszę wyjątkowej postaci historii polskiej i europejskiej muzyki rockowej, która do końca pozostała wierna sobie, swoim kresowym korzeniom, z nich czerpiąc swoją energię, w owych klimatach czując się najlepiej. Taką postawą owocowała twórczą swobodą: artysta kroczący swoimi drogami, starający zachować swoją niezależność nie ulegał zewnętrznym wpływom.

Spotkanie z Tomaszem Jaśkiewiczem stało się swoistym wyrazem hołdu dla Czesława Niemena. Po jego zakończeniu klubowicze jeszcze długo fotografowali się z gitarzystą. Podpisywał on też wyblakłe, zniszczone przez czas okładki płyt winylowych, których treść - zwłaszcza z okresu „Akwareli” i „Niemen Enigmatic” - jest wieczna, ponadczasowa.

Andras Asztalos, Słupsk



o niemenie mówił z najszczerzym uwielbieniem i pietyzmem

Ożywiamy grozę wojny, aby budować pokój

Za unijne i prywatne pieniądze, w tym zastawiając swój dom stworzyli nową atrakcję turystyczną Ustki



Fot. J. Maziejuk

Dzięki wsparciu z funduszy unijnych, po trwającej ponad rok pracy, mogą zameldować Czytelnikom „Powiatu Słupskiego”: interaktywny bunkier historii Ustki działa po zachodniej stronie portu i jest czynny przez cały rok, nie tylko w wakacje. Unia Europejska, poprzez lokalną Słównską Grupę Rybacką, wspomogła nasz projekt kwotą prawie 300 tysięcy złotych. Drugie tyle dołożyliśmy my: Joanna i Marcin Barnowscy, jako prywatni przedsiębiorcy, zastawiając nawet nasz dom.

Investycja polegała na stworzeniu interaktywnej galerii w środku schronów dawnej niemieckiej baterii artylerii nadbrzeżnej „Blücher” w Ustce, zbudowanej przez hitlerowców na jesieni 1937 roku. W tych schronach miały się mieścić podziemne koszary dla kilkudziesięciu żołnierzy z obsługi czterech armat, dalecełownika, a może także i bunkra amunicyjnego, który znajduje się około 400 metrów od baterii. Niemcy wzniesli te fortyfikacje z myślą o ochronie portu w Ustce, który zaczęli wówczas rozbudowywać. Chcieli przez Ustkę kierować transporty morskie do Prus Wschodnich, z ominięciem ówczesnego polskiego „korytarza”. Ustka nabrała dla III Rzeszy znaczenia strategicznego. Bateria po zachodniej stronie portu, nazwana imieniem związanego ze Słupskiem feldmarszałka Blüchera, jest przejawem psychozy strachu przed „polskim zagrożeniem”, rozbudowanej przez hitlerowców. Aby ją zbudować, nie zawahali się zniszczyć kąpieliska

i rekreacyjnego parku, który wcześniej znajdował się w tym miejscu.

Bunkry pochłonęły kilkadziesiąt, a może nawet kilkaset tysięcy marek. Zachowały się w dobrym stanie. Ich rewitalizacja rozpoczęła się kilka lat temu dzięki staraniom pasjonatów usteckiej historii, m.in. z ustckiego Stowarzyszenia Turystyczno-Sportowego, a także Piotra Wszółkowskiego, ówczesnego naczelnika Wydziału Promocji Urzędu Miejskiego w Ustce, obecnego radnego powiatowego, oraz Stowarzyszenia Miłośników Fortyfikacji w

Ustce. W rozpropagowaniu ich jako atrakcji pomógł też wydany przez nas przewodnik „Twierdza Ustka”, którego drugie, uaktualnione wydanie ukaże się wkrótce.

Półtora roku temu, dzięki jednogłośnie uchwalonej przez wszystkich usteckich radnych oraz dzięki burmistrzowi Ustki, Janowi Olechowi, który poparł nasz wniosek, wydzieraliśmy teren bunkrów, a następnie przygotowaliśmy, oznaczyliśmy i opisaliśmy szlak turystyczny po zewnętrznej części baterii. W tym roku, dzięki wspomnianemu wyżej unijnemu wsparciu, mamy już nową atrakcję: interaktywny bunkier historii. Teraz podziemna część bunkrów zainteresuje każdego w wieku od 3 do 133 lat.

Podziemia nasycane są czujnikami. W niespodziewanych momentach uruchamiają efekty specjalne. Oto w mroku zapala się czerwona lampka i słychać grobowy głos: „Porzućcie wszelką nadzieję wy, którzy tu wchodzić.” W „Boskiej Komedii” Dantego taki napis wisiał nad wejściem do piekła. Piekłem była też wojna, której niegdyś miały służyć te bunkry.

W bunkrowym półmroku widać niemieckich żołnierzy. W mundurach artylerii nadbrzeżnej, wyglądają jak żywi. W jednym z pomieszczeń pod dalmierzem siedzi dowódca całego dywizjonu, a za nim rarytas: mapa zagród minowych przy podejściach do ustckiego portu z jesieni 1938 roku. To jeden z dokumentów, które przywiozłem w ubiegłym roku z niemieckiego archiwum wojskowego we Freiburgu. Więcej planów,

zdjęć, panoram sferycznych i filmów można obejrzeć na dużych, interaktywnych ekranach dotykowych, naciskając na interesujące nas miejsce na wyświetlanej mapie. Są też telefony z epoki. Podnosząc słuchawkę, można tu usłyszeć i Hitlera, i Stalina, a także polskiego ministra spraw zagranicznych, Józefa Becka, jak pięknie mówi o honorze.

Czas jakby się zatrzymał. Wchodząc do galerii duchów, widzimy ich blado świecące postacie i słyszymy odgłos wiejącego wiatru i tajemniczych kroków. Te duchy, to tak naprawdę konkretni ludzie, których los związał z Ustką i tworzonymi tutaj w dobie totalitaryzmów instalacjami wojskowymi. W sali mocnych wrznięć, urządzonej w jednej z trzech dawnych sypialni żołnierskich, lecą samoloty i zrzucają bomby. Wyświetlane są też filmy o Ustce i jej okolicach, wyprodukowane przez nas wspólnie z firmą Play-m², specjalizującą się w multimedialach. To obrazy trójwymiarowe, podobnie jak zdjęcia przedwojennej i wojennej Ustki, wyświetlane w messie. Wyświetlany jest także hologram - i to też nie przypadek, że akurat w mundurze amerykańskim. Nawiązuje do rangera US Army, Carla H. Lehmana, który w 1944 roku próbował porwać w Ustce niemiecki kuter rybacki i uciec do neutralnej Szwecji.

Cieszy nas, że to co stworzyliśmy budzi coraz większe zainteresowanie i pozytywne oceny - zarówno gości z Polski, jak i z Niemiec, Ukrainy, Rosji, Węgier, Słowacji i Czech. W tych językach mamy wpisy w naszej Księdze Gości. Oto coś, co miało służyć wojnie, teraz służy pojednaniu i integracji ludzi różnych narodów. Utwierdza to nas także w przekonaniu, że ogromny sens ma stworzenie szlaku po wszystkich usteckich fortyfikacjach. W realizacji tego projektu chcemy współpracować ze wszystkimi zainteresowanymi. Podwaliny pod ten szlak już są, jest też opracowana i sprawdzona w toku wielu wycieczek trasa. W mijającym roku do realizacji tego projektu włączyło się społecznie Słupskie Stowarzyszenie Eksploatacyjno-Historyczne „Gryf”, które przygotowało ekspozycję w bunkrze amunicyjnym, czterysta metrów od bunkrów Blüchera. Była czynna codziennie przez całe wakacje - i tak samo ma być w przyszłym roku.

Marcin Barnowski
Park Historii „Twierdza Ustka”

SŁUPSKI KOLEKCJONER



DODATEK SPECJALNY DO „POWIATU SŁUPSKIEGO” NR 2(11)/2013

Polskie powstania w numizmatyce

Kolekcjonując polskie monety poznajemy historię naszego państwa, władców, bohaterów, wybitnych ludzi zasłużonych dla kultury. Między innymi dlatego warto być kolekcjonerem.

Rzeczpospolita Obojga Narodów w XVIII wieku była rozdarta wewnętrznymi sporami politycznymi i zacofana gospodarczo. Słabość tę wykorzystały państwa sąsiednie: Austria, Rosja i Prusy. W 1772 roku dokonały one pierwszego rozbioru Polski. Uchwalenie Konstytucji 3 Maja w 1791 roku nie uchroniło państwa od dalszego rozdarcia wewnętrznego. Targowiczanie sprzeciwili się jej i poprosili Rosję o interwencję zbrojną. Doprowadziło to w 1793 roku do drugiego rozbioru Polski przez Rosję i Prusy. Po nieudanej insurekcji kościuszkowskiej w 1795 roku, Rosja, Austria i Prusy dokonały trzeciego rozbioru. Rzeczpospolita zginęła z mapy Europy. Stanisław August Poniatowski, ostatni elekcyjny król Polski abdykował i został zesłany do Petersburga, gdzie zmarł w 1812 roku.

Naród polski nie pogodził się z utratą niepodległości. Pierwszą szansę na jej odzyskanie łączył z cesarzem Francji - Napoleonem Bonaparte. Utworzone Legiony Polskie walczyły u jego boku na wszystkich frontach wojen prowadzonych przez Fran-

wojska polskie walczyły u jego boku do ostatniej jego bitwy pod Waterloo w 1815 roku.

W tym też roku na Kongresie Wiedeńskim, po sporach terytorialnych powołano Królestwo Polskie związane z Rosją oraz Wolne Miasto Kraków. W 1825 roku car Aleksander I został koronowany królem Polski. Królestwo Polskie posiadało swoją administrację, sejm i wojsko. Władzę w imieniu króla sprawował namiestnik. W XIX wieku wybuchły w Królestwie Polskim dwa powstania narodowo-wyzwoleńcze, które zakończyły się klęską. Pierwsze - w nocy z 29 na 30 listopada 1830 roku - nazwane listopadowym, a drugie - 22 stycznia 1863 roku - nazwane styczniowym.

Dopiero wybuch I wojny światowej rozbił układ trzech państw zaborczych, które stanęły po przeciwnych blokach polityczno - militarnych. Aby zachęcić Polaków do walki zbrojnej po ich stronie, obiecywały wskreszenie państwa polskiego. Pozwoliły na utworzenie polskich oddziałów wojskowych, które walczyły u boku danego zaborcy.

Po zakończeniu I wojny światowej w 1918 roku zaczęło tworzyć się niepodległe państwo polskie. Na czele odrodzonej Rzeczypospolitej stanął naczelnik Józef Piłsudski. Odradzająca się Rzeczpospolita borykała się z wieloma problemami. Jednym z nich były granice państwowe. Ich przebieg trzeba było wynegocjować lub wywalczyć. W celu przyłączenia Wielkopolski do Polski, po przyjeździe do Poznania Ignacego Paderewskiego, 27 grudnia 1918 roku w mieście wybuchły walki z Niemcami, co było sygnałem do powstania, które rozszerzyło się na całą Wielkopolskę. 28 czerwca 1919 roku podpisano pokój w Wersalu. Do Polski włączono terytorium opanowane przez

mieszkańców posługiwali się miejscowym dialektem polskim. W celu przyłączenia tych ziem do Polski wybuchły dwa powstania - w 1919 i 1920 roku. Po nich władzę na Górnym Śląsku przejęli alianci, którzy mieli przygotowywać plebiscyt. Miał on rozstrzygnąć, czy jego mieszkańcy chcą należeć do Polski, czy do Niemiec. Dwudziestego marca 1921 roku odbył się on i mieli w nim prawo głosować wszyscy, którzy urodzili się na ziemi śląskiej. Wynik był niekorzystny dla Polski, aż 59,6 proc. głosujących opowiedziało się za przynależnością do Niemiec. Wśród aliantów trwały spory o interpretację wyników. Stojący na czele Polskiego Komisarjatu Plebiscytowego Wojciech Korfanty rzucił hasło do trzeciego powstania, które wybuchło w nocy z 2 na 3 maja 1921 roku. Powstańcy szybko opanowali teren do tak zwanej „linii Korfantego”, czyli postulowanej granicy polsko-niemieckiej. W lipcu, w wyniku interwencji aliantów, działania wojenne zakończono. Po nich w 1922 roku 30 proc. Górnego Śląska przyłączono do Polski.

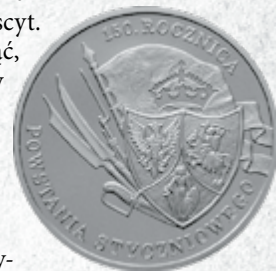
Od wielu lat historycy i politycy dyskutują na temat przyczyn, skutków i szans powodzenia polskich zrywów niepodległościowych. Mimo rozbieżnych punktów



cję. Po wkroczeniu wojsk napoleońskich na ziemie polskie Napoleon nie odrodził Królestwa Polskiego, lecz powołał Księstwo Warszawskie. Mimo tego rozczerowania

powstańców oraz obszary między innymi: Bydgoszcz, Leszno i Rawicz.

Na Górnym Śląsku, który należał do państwa niemieckiego większość jego



widzenia, wszyscy są zgodni, że pomogły one utrzymać poczucie odrębności narodowej i dążenie do całkowitej niepodległości państwowej.

Po odzyskaniu niepodległości w okresie II Rzeczypospolitej dla upamiętnienia właśnie zrywów narodowo-wyzwoleńczych, wyemitowano dwie monety: pierwszą w setną rocznicę wybuchu powstania listopadowego i drugą - w siedemdziesiątą rocznicę wybuchu powstania styczniowego. W 1930 roku Narodowy Bank Polski wyemitował srebrną monetę o nominale 5 złotych, o średnicy 33 milimetrów. Na jej awersie znajduje się wizerunek orła ustalony dla godła Rzeczypospolitej Polskiej, przy łapach są cyfry: „5 - 5”, poniżej w dwóch wersach napis: „ZŁOTYCH / 1930”. Na rewersie mamy sztandar wojskowy. W jego polu w trzech wersach jest napis: „HONOR / I / OJCZYŻNA”. W polu po obu stronach drzewca sztandaru umieszczono napis w czterech wersach: „1830 - 1930. W SETNĄ ROCZNICĘ POWSTANIA”. W dole drzewca sztandaru, po lewej stronie znajduje się litera „W”, a po prawej - litera „J”.

W 1933 roku wyemitowano srebrną monetę 10-złotową o średnicy 34 milimetrów. Na awersie znalazł się wizerunek orła też ustalonego dla godła Rzeczypospolitej Polskiej. W gór-

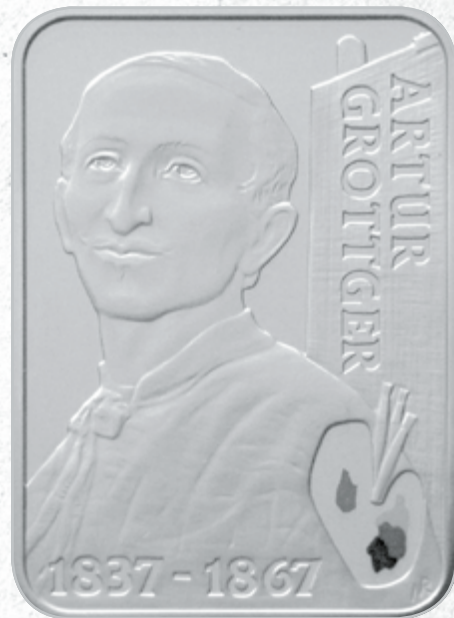
nej części w półkołu umieszczono napis: „RZECZPOSPOLITA POLSKA”. W dolnej części, w półokręgu jest napis: „10 ZŁOTYCH 10”. Na rewersie mamy stylizowane popiersie Romualda Traugutta. Po jego lewej stronie, w półokręgu znajduje się napis: „ROMUALD”, a po prawej: „TRAUGUTT”. Po lewej i prawej stronie popiersia znajdują się też dwie poziome daty: „1863 - 1933”.

Po II wojnie światowej Polska, dla upamiętnienia dążeń narodu polskiego do niepodległości, wyemitowała monety i banknot poświęcone powstaniom: styczniowemu, wielkopolskiemu i śląskiemu. W 1982 roku przez Narodowy Bank Polski wyemitowany został banknot o nominale 20 złotych, na którego awersie znajduje się stylizowany portret ostatniego dyktatora powstania styczniowego - Romualda Traugutta. 28 października 2010

roku Narodowy Bank Polski, w ramach serii „Polscy malarze”, wprowadził do obiegu srebrną monetę kolekcjonerską o długości 40, szerokości 28 milimetrów i nominale 20 złotych, przedstawiającą Artura Grottgera. Na jej awersie znajduje się centralnie stylizowany wizerunek fragmentu rysunku Artura Grottgera „Bitwa” z cyklu „Polonia”, poświęconemu powstaniu styczniowemu. U dołu, z prawej strony jest wizerunek orła ustalony dla godła Rzeczypospolitej Polskiej. Wokół orła znajduje się napis: „20 ZŁ” i po oddzielającej kropce: „RZECZPOSPOLITA POLSKA” oraz rok emisji: „2010”. Pod lewą łapą orła umieszczono znak mennicy: „M/W”. Na rewersie znajduje się centralnie stylizowany wizerunek popiersia Artura Grottgera. Z prawej strony na tle sztalugi umieszczono prostopadłe napis: „ARTUR / GROTTER”. U dołu: „1837 - 1867”. Z prawej strony znajduje się stylizowany wizerunek palety i trzech pędzli. Na palecie - farby: czerwona, żółta, zielona i niebieska.

Szesnastego stycznia br. Narodowy Bank Polski wprowadził do obiegu monetę o nominale 2 złotych - wykonaną stemplem zwykłym ze stopu nordic gold i srebrną kolekcjonerską - wykonaną stemplem lustrzanym, o średnicy 32 milimetrów i nominale dziesięciu złotych. Monety te poświęcone są 150. rocznicy wybuchu powstania styczniowego. Moneta dwuzłotowa na awersie ma wizerunek orła - ustalony dla godła Rzeczypospolitej Polskiej. Po bokach orła znajduje się oznaczenie roku emisji: „2013”, poniżej orła jest napis: „ZŁ 2 ZŁ”. W otoku napis: „RZECZPOSPOLITA POLSKA”, poprzedzony oraz zakończony sześcioma perełkami. Pod orłem, po prawej stronie umieszczono znak mennicy: „M/W”. Na rewersie, po lewej stronie umieszczono stylizowany fragment powstańczej grafiki Artura Grottgera „Pożegnanie powstańca”. Po jego prawej stronie, na odrębnej płaszczyźnie znajduje się stylizowana kompozycja, składająca się z proporca i biżuterii, którą nosiły polskie patriotki. W otoku jest napis: „150. ROCZNICA POWSTANIA STYCZNIOWEGO”.

Na awersie monety dziesięciозłotowej, u góry, po lewej stronie znajduje się wizerunek orła - ustalony dla godła Rzeczypospolitej Polskiej. Powyżej, półkołem rozmieszczono napis: „RZECZPOSPOLITA POLSKA 2013”. Poniżej orła, po lewej stronie jest napis: „10 ZŁ”. Po prawej stronie znajduje się stylizowany zarys popiersia kobiety w powstańczej rogatywce, z patriotycznym wisiorem na szyi. Na dole, z lewej strony - stylizowany rysunek kotwicy z orłem, nawiązujący do jednego z rodzajów biżuterii patriotycznej. Pod orłem, po prawej stronie umieszczono znak mennicy: „M/W”. Na rewersie znajduje się centralnie kompozycja składająca się z elementów broni powstańczej, proporca i stylizowanego godła powstania styczniowego z pieczęcią tajnego powstańczego Rządu Narodowego. U góry, półkołem rozmieszczono napis: „150. ROCZNICA”, u dołu, półkołem:



„POWSTANIA STYCZNIOWEGO”.

W 1988 roku Narodowy bank Polski wprowadził do obiegu monetę miedzionikłową o nominale 100 złotych upamiętniającą 70. rocznicę powstania wielkopolskiego. Na jej awersie, w centralnej części znajduje się wizerunek orła - ustalowy dla godła Polski Rzeczypospolitej Ludowej. Pod lewym pazurem orła umieszczono znak mennicy: „M/W”. Pod orłem jest napis: „ZŁ 100 ZŁ”. W górnej części, w półkołu napis: „POLSKA RZECZPOSPOLITA LUDOWA”. Na rewersie, w centralnej części znajdują się stylizowane sylwetki półpostaci żołnierzy w powstańczych mundurach. Na plecach żołnierza po prawej stronie umieszczono w dwóch wersach napis: „1918/1988”. W górnej części, w półkołu znajduje się ograniczony z przodu i tyłu pojedynczymi kropkami napis: „70 ROCZNICA”. W dolnej części, w półkołu umieszczono napis: „POWSTANIA WIELKOPOLSKIEGO”.

Dwudziestego drugiego grudnia 2008 roku Narodowy Bank Polski wprowadził do obiegu monety upamiętniające 90. rocznicę powstania wielkopolskiego o nominale 2 złotych (wykonaną ze stopu nordic gold) i 10 zł (wykonaną stemplem lustrzanym w srebrze). Pierwsza na awersie ma wizerunek orła - ustalony dla godła Rzeczypospolitej Polski, po jego bokach oznaczono rok emisji: „2008”, pod orłem umieszczono napis: „ZŁ 2 ZŁ”, a w otoku napis: „RZECZPOSPOLITA POLSKA” - poprzedzony oraz zakończony sześcioma perełkami. Pod lewą łapą orła znajduje się znak mennicy: „M/W”. Na rewersie jest stylizowany wizerunek popiersia Ignacego Jana Paderewskiego z głową opartą na prawej dłoni. Na tle popiersia, u dołu jest stylizowany wizerunek maszerującego pododdziału powstańców wielkopolskich. W otoku rozmieszczono napis: „90. ROCZNICA POWSTANIA WIELKOPOLSKIEGO”. Na boku - ośmiokrotnie powtórzony napis: „NBP”, co drugi odwrócony o 180 stopni i rozdzielony gwiazdkami.





Moneta o nominale 10 złotych ma na awersie, u góry wizerunek orła - ustawowy dla godła Rzeczypospolitej Polskiej, po jego bokach - oznaczenie roku emisji: „20-08”. Pod orłem jest stylizowany wizerunek kolumny strzelców wielkopolskich podczas defilady i na koniu dowódca oddziału. W otoku umieszczono napis: „RZECZPOSPOLITA POLSKA”. U dołu: „10 ZŁ”. Pod lewą łapą orła jest znak mennicy: „M/W”. Na rewersie, z lewej strony jest stylizowany wizerunek noszonej przez powstańców wielkopolskich rozety w kolorach - białym i czerwonym, z orłem w zróżnicowanych odcieniach szarości. Z prawej strony znajduje się stylizowany wizerunek popiersia Ignacego Jana Paderewskiego. W tle umieszczono fragment apelu wydanego przez dowództwo ostrowskiego okręgu wojskowego. U góry jest napis: „90. ROCZNICA”, u dołu w dwóch wersach napis: „POWSTANIA / WIELKOPOLSKIEGO”.

W 1971 roku Narodowy Bank Polski wprowadził do obiegu monetę ze stopu miedzioniklowego o nominale 10 złotych poświęconą 50. rocznicy III Powstania Śląskiego. Na awersie, w centrum umieszczono orła - ustalonego dla godła Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Po lewej i prawej stronie znajduje się data emisji: „19-71”. Pod lewą łapą orła jest znak mennicy: „M/W”. W górnej części, w półkolu znajduje się poprzedzony i zakończony stylizowanym motylem napis: „POLSKA RZECZPOSPOLITA LUDOWA”. W dolnej części umieszczono półkolem napis: „ZŁ 10 ZŁ”. Na rewersie, w centralnej części umieszczono stylizowany pomnik powstania śląskiego. Po jego lewej stronie - stylizowany wizerunek Śląskiego Krzyża Powstańczego, ustanowionego 8 października 1946 roku. Po prawej stronie - w dwóch wersach napis: „1921/1971”. Pod pomnikiem w czterech wersach umieszczono napis: „50/ROCZNICA III/POWSTANIA/ŚLĄSKIEGO”. Bok jest ząbkowany.

W 1992 roku Narodowy Bank Polski wprowadził do obiegu monetę o nominale 10 000 złotych poświęconą 70-leciu zjednoczenia części Górnego Śląska z Polską, wykonaną w srebrze stemplem lustrzanym. Na awersie, w centralnej części umieszczono orła - ustalonego dla godła Rzeczypospolitej Polskiej. Po jego lewej i prawej stronie jest rok emisji: „19-92”. Pod lewą łapą orła znajduje się znak mennicy: „M/W”. W otoku jest sznur wykonany z perełek. W górnej części, półkolem rozmieszczono napis: „RZECZPOSPOLITA POLSKA”. U dołu półkolem: „ZŁ 100000 ZŁ”. Na rewersie po prawej stronie znajduje się stylizowane popiersie Wojciecha Korfanteo, głową zwróconą w prawą stronę. Pod postacią jest ukośnie stylizowany podpis: „Wojciech Korfanty”. Nad lewym ramieniem postaci znajduje się litera: „E”. W lewej części - pionowy w czterech wersach napis: „70-LECIE/ZJEDNACZENIA/

CZĘŚCI GÓRNEGO/ŚLĄSKA Z POLSKĄ”.

Pierwszego września 2011 roku Narodowy Bank Polski wprowadził do obiegu monety upamiętniające powstania śląskie, o nominałach: 2 zł (wykonaną stemplem zwykłym ze stopu nordic gold) i 10 zł (wykonaną stemplem lustrzanym w srebrze). Pierwsza na awersie ma wizerunek orła - ustalonego dla godła Rzeczypospolitej Polskiej. Po jego bokach znajduje się oznaczenie roku emisji: „20-11”, poniżej napis: „ZŁ 2 ZŁ”. W otoku umieszczono napis: „RZECZPOSPOLITA POLSKA”, poprzedzony oraz zakończony sześcioma perełkami. Pod orłem, po prawej stronie jest znak mennicy: „M/W”. Na rewersie znajdują się stylizowane wizerunki powstańców śląskich. U góry, pomiędzy łufami karabinów znajdują się daty powstań: „1919 1920 1921”. U dołu jest napis: „POWSTANIA/ŚLĄSKIE”. Na boku znajduje się ośmiokrotnie powtórzony napis: „NBP”, co drugi odwrócony o 180 stopni i rozdzielony gwiazdkami.

Moneta 10-złotowa na awersie ma centralnie umieszczony stylizowany fragment mapy Śląska w granicach zgodnych z postulatami terytorialnymi, zgłoszonymi po plebiscycie w 1921 roku. Na tle mapy znajduje się stylizowany fragment śląskiego krajobrazu. Po prawej stronie - wizerunek orła ustalonego dla godła Rzeczypospolitej Polskiej. Poniżej, z prawej strony jest napis: „10 ZŁ”. U dołu, na tle mapy oznaczono rok emisji: „2011”. Po lewej i po prawej stronie mapy, półkolem rozmieszczono napis: „RZECZPOSPOLITA POLSKA”. Pod orłem, po prawej stronie znajduje się znak mennicy: „M/W”. Na rewersie są też centralnie umieszczone, stylizowane wizerunki trzech powstańców śląskich, wpisane w kontur fragmentu mapy Śląska. Od góry, ukośnie w prawo znajdują się napisy: „1921/1920/1919”. W otoku jest napis: „POWSTANIA ŚLĄSKIE”.

Henryk Błaszczewicz, Słupsk

Jan Paweł II - 35 lat od wyboru

W Miejskiej Bibliotece Publicznej zorganizowano wystawę pn. „Jan Paweł II na ziemi słupskiej”.

Jan Paweł II jest postacią szczególną dla świata, dla Polaków, dla słupszczan. Papież zawsze był i pozostanie bliski każdemu z nas, bez względu na wyznanie czy światopogląd. Nasz papież nie żył w samotności, był otwarty na świat, wspierał słowem i umacniał ludzi w ich przekonaniu do wolności, bowiem „o godności i wielkości człowieka świadczy jego wolność”. Szczególną uwagę poświęcił młodzieży, dlatego też był i jest tak bardzo przez młodzież kochany.

16 października br. minęło trzydzieści pięć lat od wyboru Karola Wojtyły na Stolicę Piotrową, zaś 15 października dziesięć lat od nadania Janowi Pawłowi II Honorowego Obywatelstwa Miasta Słupska. Kilka dni temu Stolica Apostolska ogłosiła



datę wyświęcenia Jana Pawła II. Data którą wskazano to 27 kwietnia 2014 roku. Aby nadać podniosły charakter tym jubileuszom w Miejskiej Bibliotece Publicznej zorganizowano wystawę pn. „Jan Paweł II na ziemi słupskiej”, której inicjatorem poza biblioteką był też słupski oddział Polskiego Towarzystwa Numizmatycznego. Wpisała się ona w obchody Dni Kultury Chrześcijańskiej oraz w Tydzień Papieski. Była dostępna do końca października, a honorowy patronat objęli nad nią - Maciej Kobyliński - prezydent Słupska i Sławomir Ziemianowicz - starosta słupski.

W organizację ekspozycji zaangażowano mieszkańców Słupska i powiatu słupskiego. Złożyły się na nią m.in. medale i monety z wizerunkiem Jana Pawła II, fotografie z pobytu mieszkańców Słupska w Watykanie, z pielgrzymek, ze spotkań z Ojcem Świętym. Ponadto znalazły się na niej listy, znaczki, zaproszenia, plakaty, publikacje albumowe, książki i obrazy. Zaangażowanie mieszkańców przeszło najśmielsze

oczekiwania, a wyjątkowy akcent ekspozycji nadał wyhaftowany specjalnie na tę okazję portret papieża Jana Pawła II przez p. Wiesławę Brzeczowską ze Słupska.

Wystawę otwarto 16 października. Podczas uroczystości nie zabrakło osobistych wspomnień, refleksji i wzruszeń. Papieża wspominali: prezydent Maciej Kobyliński, Anna Bogucka-Skowrońska, ks. prałat Jan Giriutowicz, ks. Lucjan Huszczonek oraz Jerzy Henke. Najbardziej emocjonalnie zrobiła to Anna Bogucka-Skowrońska. Podkreślała znaczenie wolności w życiu społecznym oraz rolę papieża jaką odegrał w latach osiemdziesiątych, wspierając działaczy Solidarności. Prezes słupskiego oddziału PTN Jan Radkowski zaprezentował licznie przybyłym gościom m.in. medale annualne z czasów pontyfikatu Jana Pawła II.

Przy okazji zorganizowanych w Słupsku obchodów jubileuszy warto przypomnieć, że Jan Paweł II pielgrzymując do Polski nie odwiedził nigdy ziemi słupskiej, ale był tu jeszcze jako arcybiskup i kardynał

Karol Wojtyła. Dla wielu nie jest tajemnicą, że uczestniczył w spływach kajakowych pomorskimi rzekami. W lipcu 1964 roku płynął rzeką Słupią i po raz pierwszy odwiedził Słupsk. W 1975, już jako kardynał odwiedził Słupsk i spędził noc z 17 na 18 sierpnia w parafii mariackiej. 31 maja 2004 roku podczas uroczystej audiencji w Watykanie, przedstawiciele miasta wręczyli papieżowi tytuł Honorowego Obywatela Miasta Słupska (nadany 15 października 2003 roku). Imieniem Papieża Jana Pawła II nazwano jedną ze słupskich ulic. Siedemnastego lipca tego samego roku w czterdziestą rocznicę spływu papieskiego Słupią, stanął w Słupsku obelisk papieski. Trzeciego kwietnia 2006 roku odbyło się spotkanie samorządowców ze starostą bytowskim i zainicjowano na nim budowę Kajakowego Papieskiego Szlaku Rzeką Słupią. Szlak taki został zaznaczony m.in. ustawionymi w miejscowościach, które odwiedził Karol Wojtyła kamieniami papieskimi.

Danuta Sroka, Słupsk

Mincerski rarytas z Rowów

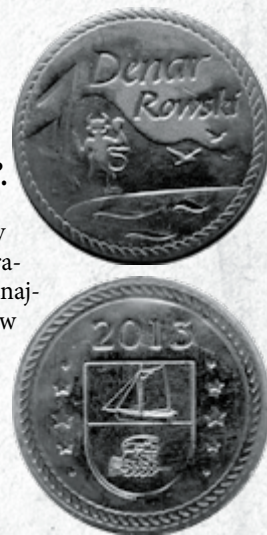
Tradycji stało się zadość. Ustecki artysta Józef Jaskuła od połowy czerwca do końca wakacji w Rowach (na trasie do plaży) wystawił swoją mennicę. Na oczach wczasowiczów i gości bił „1 Denara Rowskiego”.

Wszystkie jego denary bite są z krążków stopu metali: miedź - brąz, cyna - srebrny, mosiądz - złoty. Krążki są o średnicy 29 milimetrów. Autorem tegorocznego „1 Denara Rowskiego” jest sam Jaskuła. Awers denara przypomina zewnętrzny owal ograniczony splotem sznurkowym. W środkowej części jest herb; w tarczy (w jej górnej części) - żaglowiec, a poniżej, na poziomym kłosie zboża (ułożonym w lewo) siedzi pasikonik. Po lewej i prawej stronie tarczy

herbowej rozplanował po pięć (różnej wielkości) gwiazd pięcioramiennych - jako symbol szczęścia. Nad tarczą umieścił datę emisji: „2013”.

Rewers nie uległ zmianie - jest taki jak w pierwowzorze z 2010 roku. Zewnętrzny owal ograniczony został splotem sznurkowym. Z lewej strony znajduje się cyfra „1”, o którą z prawej strony oparty jest diabeł z rogami na głowie i z ogonem. W środkowej części znajduje się zarys wydmy, o które na

brzegu dobijają trzy fale morskie. Po prawej stronie wydmy znajdują się trzy mewy w locie. Jedna z nich leci nad wydumą. U góry, z prawej strony znajduje się w dwóch wersach napis: „Denar/Rowski. (j.r.)



Medal Pamiątkowy Zarządu Okręgu PZW W Słupsku

Ósmego czerwca br. Zarząd Okręgu Polskiego Związku Wędkarskiego w Słupsku otrzymał sztandar. Uroczystości jego poświęcenia odbyły się w kościele pod wezwaniem św. Jacka, a przekazania - nad rzeką Słupią.

Fundatorzy przybili swoje gwoździe i sztandar przekazano prezesowi Teodorowi Rudnikowi, a następnie przejął go poczet sztandarowy. Podczas tej milej uroczystości wręczany był medal pamiątkowy

Społecznego Komitetu Fundacji Sztandaru Okręgu PZW. Pomysłodawcami medalu byli członkowie związku, a projekt i wykonanie powierzono Radosławowi Kozłowskiemu - współwłaścicielowi Zakładu „Olimpia” w Lęborku.

Medal jest z mosiądzu, patynowany, lany, ma średnicę 67 milimetrów i wykonano go w ilości 150 sztuk. Na awersie, na fakturym tle, w górnej części umieszczono

logo Polskiego Związku Wędkarskiego. Na środku, nad grubą linią znajduje się napis: „POLSKI ZWIĄZEK WĘDKARSKI”. Pod linią jest napis: „OKRĘG SŁUPSK/ 2013”. W dole w tarczy herbowej umieszczono herb Słupska. Natomiast na rewersie, na fakturym tle umieszczono tróć. W półotoku znajduje się napis: „SPOŁECZNY KOMITET FUNDACJI SZTANDARU”.

Jan Radkowski, Słupsk





BUNKRY BATERII BLÜCHERA
USTKA, LISTOPAD 2013



